



DAR ANOMALII

PAWEŁ ZBROSZCZYK

== Księga III ==

DAR ANOMALII

PAWEŁ ZBROSZCZYK

== Księga III ==
POŻOGA



YODGORLIK

TAKLIF

QUIZIL
MALIKA

WYSPA
NEUTRALNA

MORZE
WSCHODNIE

LANGAR

BEZKRESNE WODY

Ban Badur

Khon Runar

Vexmire

Albenurg

Marbadur

Reckathan

BOLGA

Khon Farum

Buyuk Tog

Ogiz

TOGLI

Ristarlik

Meros

Chorraha

Almashish

Tharsa

Oltar

KINDIK

DENGIZ

Bozor

Chekka

Thag Daral

Chegara

Umid

Ulanish

Wynder

Janubiyi

Shamol

Plaven

Ostatni
magazyn

Sharshara

PUSTKOWIA

YER OSTI

BOSHQALAR

Copyright © by Paweł Zbroszczyk, 2025

Wszelkie prawa zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody wydawcy jest zabronione.

Redakcja: Magdalena Świerczek-Gryboś
Korekta: Paweł Wielopolski, Anna Hat – Zyszczyk.pl
Skład DTP: Andrzej Zyszczyk – Zyszczyk.pl
Ilustracja na okładce: Steve Stone
Projekt okładki: Ilona Gostyńska
Diagram magii: Gabrysia Szymańska

Wydawca: Wydawnictwo elfickie
Kup książkę: www.elfickie.pl
Zamówienia hurtowe: zamowienia@elfickie.pl

Dystrybutorzy:
Platon Sp. z o.o. – <https://platon.com.pl>
Ateneum M. Kogut, A. Zegiel Spółka Komandytowa – <https://www.ateneum.net.pl>
OSDW Azymut Sp. z o.o. – <https://www.azymut.pl>

Wydanie I

ISBN 978-83-970985-7-2

Znajdziesz mnie:

 www.facebook.com/frazyfantasy
 www.instagram.com/frazyfantasy
 www.tiktok.com/@frazyfantasy
 www.elfickie.pl
 <https://lubimyczytac.pl/autor/245233/pawel-zbroszczyk>

Tobie, Powierniku mej historii

CZĘŚĆ I

WIEDZA

Rozdział 1

Przedsionek

Leba umierał.

Nieludzki chłód wędrował po wnętrzu Brena, wyziębiał i kruszył wszystko, co związane ze skrzydlatym przyjacielem. Wygaszał wspomnienia, odcinał echo wspólnych przygód, jak gdyby do połączenia z Lebą nigdy nie doszło. Upiorny strach zawładnął myślami chłopaka, który za wszelką cenę próbował przypomnieć sobie, co się właściwie wydarzyło.

Powędrował myślami do momentu, gdy został sprzedany Szkarłatnej Królowej, trafił na wyspy Quizil Malika jako niewolnik i poznał Yusufa, byłego członka Cesarskiej Loży, maga, który za dojście do swojej potęgi zapłacił szaleństwem. To od jego Parkanina dowiedział się, że Leba utknął między światami, w miejscu zwanym Przedsionkiem, i z każdą chwilą coraz bardziej pogrążał się w otchłani.

Bren postanowił uciec z kompleksu więziennego. Podziemny kanał doprowadził go poza obóz niewolników. Pomimo kłopotów ze Śliwą, znienawidzonym prześladowcą z celi, chłopak uwolnił torturowaną Zadrę oraz poznanych w podziemnym mieście: Ines, Fausta, a także Sue. Zadziałał również jego fortel z trucizną: dodane do posiłków ziele glistnika otruło Pieprza, a nadzorujące kazamaty

Tiuady przyniosły jego ciało do kostnicy. To tam podał przyjacielowi odtrutkę i przywrócił go do życia.

Następnie ruszyli do wielkiego zagłębienia w ziemi, gdzie w święte dni Tiuady oddawały cześć swemu bóstwu, Pernikoktowi, karmiąc go zmarłymi więźniami lub tymi, którzy po trzykroć nie wyrobili normy wydobywania itium. Uciekinierzy zamierzali przejść dnem leja w kierunku zatoki, opłynąć wyspę i ukryć się na jednym z cumujących w porcie statków.

I wtedy plan się posypał.

Pan C, będący największym wsparciem Brena podczas trudnych chwil w kazamatach, okazał się człowiekiem Szkarłatnej. To on przywołał śpiącego w jaskini potwora, by udaremnić ucieczkę.

Wspomnienie walki z ogromnym monstrem, obszargłych macek, glist wystających z otworu gębowego wciąż wybijało się pośród chaotycznych myśli Brena. Na szczęście bogowie nad nimi czuwali. Niszczycielska potęga lodu, która jakimś cudem się w nim nagromadziła, zabiła Pernikokta, a także zebrane na górze Tiuady. Skąd miał w sobie tę moc? Jak mógł wytworzyć tak druzgocące zakłęcie pomimo nieobecności Leby? Tego, niestety, nie wiedział. Pamiętał jedynie, że po wszystkim poczuł ulgę, a chór nieznanych mu głosów w głowie nareszcie umilkł.

Najgorsze jednak stało się potem, w jaskini potwora. To tam poczuł, że serce Leby gaśnie. Myślał wyłącznie o radzie, którą udzielił mu Foren. Aby odnaleźć przyjaciela, Bren musiał połknąć sennik. Problem polegał na tym, że nie miał nawet odrobinki drogiego liścia. Jego kieszenie były za to wypchane trucizną, która wywołała śpiączkę Pieprza.

Chłopak zjadł trujący glistnik i osunął się na ziemię. Zdążył jeszcze dostrzec przerażone spojrzenia Zadry i Pieprza, których poprosił, by najpóźniej za dwie doby podali mu odtrutkę.

Co się działo dalej? Chyba stracił przytomność. Ale czy na pewno?

Spróbował otworzyć powieki. Bezskutecznie. Zanikły dźwięki. Nie słyszał własnego oddechu.

Więc tak umiera człowiek.

Skup się, Bren.

Czas pędził bezlitośnie. Tiuady na pewno wysłały za nimi pościg. Zadra z poparzoną ręką nie zdoła ich obronić. Faust, Ines i Pieprz – tym bardziej. A on? Leżał bez życia w jaskini Pernikokta.

Poczuł na skórze coś wilgotnego. Otworzył oczy i dostrzegł przezroczystą powłokę – bańkę, w której był uwięziony. Na Zatora, znajdował się pod wodą, a tysiące bąbli podobnych do tego, w którym się znajdował, płynęło ku powierzchni.

W każdej z otoczek tkwiły istoty. Naga kobieta o szerokich ramionach i głowie znacznie większej niż ludzka. Człekokształtny samiec pokryty łuskami. Przypominająca nietoperza skrzydlata postać z wygiętą szyją i malutką głową wciśniętą w tors. Wszystkie nagie, zatopione w głębokim śnie.

Omiótł wzrokiem swoje ciało. Miał na sobie spodnie, kaftan i podróżny płaszcz.

Chłupot, syk. Morze wypłuło go na powierzchnię, podrzuciło na spienionych falach i przytrzymało bańkę w swych objęciach.

Bren zamarł. Wszędzie, jak okiem sięgnąć, rozciągały się wiry. Monstrualne, przylegające do siebie brzegami dziurawiły taflę spokojnego oceanu.

Było tam coś jeszcze. Nad powierzchnią wody fruwały setki istot o obłych, galaretowatych ciałach. Przypominały osy z długimi, cienkimi odnóżami. Bren patrzył z fascynacją na niemal przezroczystą skórę ich odwłoków, na wyrzuszenia w pobliżu bijących serc i macki z pietyzmem obejmujące wynurzające się bańki. Przypomniawszy sobie opowieść Leby, gdy ten płynął na Wyspę

Mostów, by przejść przez anomalię i obudził się podczas morskiej podróży. Wtedy też widział podobny obraz: tysiące wirów, bańki i strażników.

Czy to możliwe, że trafiłem do tego samego miejsca?

Dotarło do niego, że istoty nie zwracają na niego uwagi. Skupione na pozostałych bańkach formowały z nich rzędy, które ciągnęły się aż po horyzont. Kiedy Bren dotarł do górzystej wyspy, otaczająca go forma pękła.

Ziemia nie była tu ziemią. Stanowiły ją fragmenty ciał; głowy, korpusy, kończyny, które ciągnęły się aż do gigantycznych schodów. Tu i ówdzie, spośród popielatych pagórków wystawały zdeformowane ręce. Gęszcz bladych szczątków, być może odpompowanych z krwi, wzdętych, odrażających, kiwał się i hipnotyzował.

Bren ruszył ku schodom, omijając wystające spośród korpusów dłonie, które przypominały nabrzmiałe rękawice. Stopnie sięgały czarnych chmur. Unoszące się po bokach ogniki rzucały czerwony blask na morze głów, nóg oraz rąk, z których uformowano groteskowe wzniesienie.

U podnóża schodów dostrzegł dwie postacie zanurzone po kostki w niewielkiej sadzawce. Promienie zimnych gwiazd zatańczyły na konturach skrzydlatych nieznajomych. Przypominali Parkan, ale byli wyraźnie mniejsi.

To parkańskie bliźnięta – pomyślał. Spotkaliśmy je z Lebą podczas pierwszej pielgrzymki.

Powrócił myślami do tamtego dnia. Chłopiec doradził im, by po powrocie do Estepii odnaleźli najemniczkę o imieniu Zadra i uratowali jej życie.

Bren się uśmiechnął. Dobrze pamiętał, jak znalazł ją w kostnicy i przywrócił do żywych za pomocą zaklęcia. Ona zaś wyeliminowała szturmujących budynek piewców.

– Witaj – powiedziała płowowłosa dziewczynka.

Oczy bliźniąt były czarne jak wnętrze pieca. Bren próbował dostrzec w nich emocje, ale przypominały studnie bez dna.

– Poszukuję Leby – rzekł ostrożnie.

– Po coś na pewno przybyłeś – stwierdziła dziewczynka. – Pytanie, czy wiesz, po co.

Chłopiec uśmiechnął się powściągliwie i zamachał nogami, burząc spokój zbiornika z krystaliczną wodą.

Bren wskazał okolicę dłonią.

– Czy to Przedsionek? – spytał.

Dzieci spojrzały na boki, ale nie odpowiedziały.

– Spotkaliśmy się już, prawda? – próbował dalej.

– Prawda i nieprawda – odparła dziewczynka. – Takich spotkań mogło być nieskończenie wiele, ale równie dobrze mogło nie być żadnego.

– Co się stało z waszymi oczami?

Chłopiec wyciągnął stopy z sadzawki i poruszył palcami nóg. Wystające z ramion skrzydełka zatrzepotały.

– Och – rzekł. – Solar nie pozwala nam oglądać tego miejsca.

– Kim jesteście?

Dziewczynka podparła rączkami rumianą buzię. Miała idealnie okrągłą, piegowaną twarz i lekko zadarty nosek. Drobnutkie usta uformowały figlarny uśmieszek.

– Naprawdę jeszcze się tego nie domyśliłeś?

Bren wodził wzrokiem po bliźniętach, ale żadna sensowna myśl nie przychodziła mu do głowy.

– Podaj nam dłonie – rzekł chłopiec – a powiemy ci, po co tu przybyłeś.

Narastająca złość zaczęła przejmować nad nim kontrolę. Nie znosił takich gier, tajemniczych półsłówek, rozmów o niczym. Leba umierał, a on nie miał czasu na zabawy. Czerń dziecięcych

oczu wydawała się go wciągać. Poczuł, jak jego ciało sztywnieje. Kucnął i wyciągnął do nich ręce. Bliźnięta pochwyciły je łapczywie.

– Według mnie przybyłeś po to – rzekł chłopiec, po czym zaczął szeptać:

Jestem mostem między sercami.
Wiatrem, co łyzy osusza.
Drzewem rosnącym pośród troski.
Pajęczą nicią bez uśmiechu i więzi.

Bren zmarszczył czoło.
– To zagadka? – spytał.
Chłopiec przyłożył palec do ust i zmrużył oczy.

Jestem mostem między sercami – powtórzył w myślach Bren, a te natychmiast powędrowały do Leby, najlepszego przyjaciela, jakiego kiedykolwiek miał.

– Przyjaźń – rzekł. – To musi być „przyjaźń”.
– Jeśli masz rację, znajdziesz ją tam. – Chłopiec wskazał szczyt schodów.

Dziewczynka prychnęła gniewnie, machnęła ręką i wtrąciła:
– Nie słuchaj mojego brata. To pułapka na takich jak ty. Według mnie przybyłeś tu po coś, co ujrzysz w sadzawce.
– Mieszasz mu w głowie – wtrącił się chłopiec.
– Tylko zajrzyj – ponagliła Brena. – Sam zdecydujesz, czy wejść do niej, czy pójść schodami.

Bren przeniósł wzrok na podłużny, otoczony kamieniami zbiornik. Powoli podszedł bliżej, kucnął i oparł dłonie o wilgotne kamienie. W wodzie dostrzegł własne odbicie.

Dziewczynka zaczęła szeptać:

Nie widać mnie, lecz każdy mnie łaknie.
Docenisz mnie, kiedy ci mnie braknie.
Zadbane szybko rosnę w siłę.
Zapomniane przyniosę moglię.

Bren analizował słowa, poruszał ustami i powtarzał w myślach wyraz po wyrazie.

Docenisz mnie, kiedy ci mnie zabraknie.

– Zdrowie! – zawołał. – Odpowiedź brzmi „zdrowie”.

Taflę wody zmarszczył powiew wiatru. Na bogów. Odbicie się zmieniło. Zobaczył swoje długie rude włosy. Na głowie nie było śladów poparzeń, rezultatu tortur Styksa.

– Unieś dłoń – zachęciła dziewczynka.

Wykonał polecenie i poczuł, jak jego gardło zaciska się ze wzruszenia.

– Moje palce nie są zrośnięte...

Obraz dawnych, zdolnych do rzeźbienia palców falował na zmarszczonej tafli. Bren przejechał dłonią po pęcherzach na szyi – zapłacie, jaką poniósł za jedno z zaklęć. Skóra w odbiciu była gładka.

– Jestem zdrowy – rzekł.

– Możesz być. Wystarczy, że wejdiesz do wody.

Bren wstał i postawił stopę na kamieniach.

– Jeśli to zrobisz, nigdy już tu nie wrócisz! – ostrzegł chłopiec.

– I co z tego... – wtrąciła siostra – ...skoro obudzi się jak nowo narodzony?

– Stracisz całą magię – przekonywał jej brat. – Sadržawka stoi tu na pokuszenie.

Dziewczynka uderzyła gniewnie skrzydełkami.

– Błagam! – Prychnęła. – Jedyłą pokusą, jaką tu dostrzegam, jesteś ty sam.

Bren cofnął nogę. Powiódł spojrzeniem po bliźniętach, które zaciskały pięstki i unikały jego wzroku. Wziął głęboki wdech.

Chłopiec podszedł do niego i złapał delikatnie za nogawkę.

– Idź na sam szczyt schodów – rzekł. – Dotrzesz do budynku. Wejdź do środka, zasiądź przy dowolnym stole i czekaj. Dołączą do ciebie głosiciele, a jeden z nich przywoła tego, z którym się przyjaźnisz.

– Kim są głosiciele?

– To jaźnie uwięzionych Parkan. Wystarczy, że wskażesz tę właściwą.

Dziewczynka cmoknęła przeciągle.

– To pułapka – powiedziała melodyjnie i odwróciła głowę w stronę brata. – Jak wielu przybyszom udało się wybrać tego prawdziwego? No dalej, powiedz mu, niech usłyszy to od ciebie.

Bren wlepił wzrok w chłopca.

Co tu się, na Zatora, dzieje?

– Przyjaźń zawsze pokona fałsz – obstawał przy swoim bliźniak.

– A ja myślę, że powróci z innym. Wiesz, co to oznacza, prawda?

– Och, przestań. Wybór nie jest trudny.

Dziewczynka zerwała się z miejsca i doskoczyła do brata.

– „Nie jest trudny”? „Nie jest trudny”?! – Wsunęła za ucho kosmyk włosów i zacisnęła piąstki. – Głosiciele mają wgląd do wszystkich wspomnień od momentu połączenia z Parkaninem aż do rozstania. Omamią go, by wybrał właśnie ich.

– Ale dlaczego? – przerwał kłótnię Bren.

Westchnęła przeciągle. Długo – a wraz z wypuszczaniem powietrza jej ramiona opadały coraz niżej.

– To miejsce pokutne. Trafiają tu głównie Parkanie, którzy przedwcześnie weszli do anomalii. – Chwyciła jego dłoń. – To zawsze powoduje szaleństwo.

– Nie zawsze – zaoponował chłopiec.

– Och, proszę cię! Mówisz o garstce tych, którzy przekształcą się w Bezsennych? To jak ziarnko piasku na pustyni. Większość

z nich pograża się w rozpacz, ogarnia ich szaleństwo. Dobrze wiesz, o czym marzą każdego dnia, o czym myślą, widząc tu gościa.

Bren czuł się przytłoczony. Był niczym pionek na planszy nieznanego mu gry, której stawka przewyższała jego zdolność pojmowania. Wspomnienie o Bezsennych przypomniało mu jednak o głównym celu. Wszechpotężne byty tkające anomalie i łączące Parkan z przeznaczonymi im istotami zostały zdemaskowane przez Niaka oraz Styksa. Złoczyńcy odkryli drogę prowadzącą do tych istot i zamierzali wymordować wszystkich architektów anomalii, by pozbawić światy magii.

Zerknął na rodzeństwo. Czuł ich różne energie, widział skupione twarze, zaciśnięte usta.

– Jeśli nie uda ci się poprawnie wskazać jaźni przyjaciela – rzekła dziewczynka – wrócisz z szaleńcem w środku i nie minie kilka dni, a odbierzesz sobie życie.

Chłopiec ponownie zacisnął dłoń na jego nogawce.

– Znajdziesz sposób – wyszeptał. – Po to tu przybyłeś.

Bren zapadł się w siebie. Nigdy w życiu nie stanął przed trudniejszym wyborem. Pamiętał moment, gdy schwytał ich Styks, a on miał zdecydować o życiu Zadry i Pieprza. Wybrał wtedy własną śmierć. A jednak tamta decyzja wydawała się prostsza. Teraz przyszło mu mierzyć się z wizją powrotu do stanu sprzed tego wszystkiego. Mógłby odzyskać zdrowie, być zwykłym chłopakiem, wtopić się w tłum i pozwolić, by wielkie przygody pogalopowały z dala od niego.

A co z Lebą? Co z Bezsennymi? Co ze Styksem, który poparzył mu głowę, wyrwał paznokcie i połamał kości rąk oraz nóg? Czy ten perfidny skurwiel ma żyć dalej? Gnój, którego poprzysiągł dopaść, osiągnie swój cel? Odetnie światy od magii i zasiądzie na tronie Estepii? Nigdy!

– Nigdy! – powtórzył głośno. – Oddałbym życie za Lebę, więc tym bardziej zaryzykuję. Wolę oszaleć, aniżeli go stracić.

Dziewczynka rozluźniła uścisk i zabrała dłoń. Na jej twarzy dostrzegł ogromny zawód.

– Ponownie wybrałeś mego brata – wyszeptała ze złością.

Chłopiec puścił nogawkę Brena i zatrzepotał skrzydełkami.

– Po prostu bardziej ceni miłość do innych niż miłość do siebie.

– Nawet jeśli wskażesz tego prawdziwego – zwróciła się do Brena – jeśli jakimś cudem nie dasz się omamić, wasze połączenie już nigdy nie będzie tak samo mocne.

– Nie mąć, siostrzo! Już zdecydował!

– Co masz na myśli? – dopytał Bren.

– Nie ma bardziej naturalnego połączenia z Parkaninem od dzieła anomalii. Zwątpienie Leby to jak złamany, źle zrośnięty łokieć. Można zespolić pogruchotane kości, ale kończy na już nigdy nie będzie w pełni sprawna.

Bren zerknął na chłopca, licząc na krzepiący komentarz, ale ten milczał.

– Bez względu na to, kogo wybierzesz – kontynuowała – chwilę później Parkanin wyruszy na pielgrzymkę. Bez ciebie. To kolejne ryzyko. Zapłacisz za to zdrowiem.

– Jak to „beze mnie”?

– Dotarliście tu osobno i osobno wróćcie do twego świata.

– A pielgrzymka? Czy to konieczne?

Usta dziewczynki drgnęły ledwo zauważalnie.

– Musi udowodnić, że jest gotów, by służyć ponownie. Najgorsze jednak czeka cię po powrocie, kiedy znowu zapragniecie odwiedzić Parkan. Anomalia rozpozna świeże dopasowanie. Mrok opęta twoją duszę.

– O czym ty mówisz?

– Już to przechodziłeś – wtrącił łagodnym tonem chłopiec. – Poradzisz sobie z tym.

– Przechodziłem? Kiedy?

– Zaraz po połączeniu z Lebą. Nazywacie to „kalibracją”.

Bren się zamyślił. Kalibracja. Tak. Nie był wtedy sobą. Zwyyzywał lekarza piewców, ośmieszył publicznie Gwidona. Na szczęście stan ten nie trwał długo.

– Pamiętam – przyznał.

Dziewczynka rozpostarła skrzydła, odbiła się od ziemi i chwyciła Brena za ramiona. Z jej oczu spłynęły czarne łzy.

– Ten stan będzie intensywniejszy, bardziej krwawy. Pchnie cię do czynów niegodnych i na zawsze pozostawi cierpienie w twojej duszy.

– Zostaw go! – krzyknął chłopiec.

Bren odskoczył do tyłu. Parkanka wskazała go drżącym palcem.

– Wspomnisz moje słowa. I pożałujesz swojej decyzji – rzekła chłodno.

Bliznięta rozbłyły oślepiającym światłem, po czym zniknęły, pozostawiając po sobie mgielne opary.

* * *

Na skraju szczytu garbił się wiekowy budynek. Wzdłuż zmurszałych ścian wędrowały mgły, a w spadzistym dachu przeglądały się gwiazdy rozsiane na obcym niebie. Fasada, niegdyś bogato zdobiona, dziś nie prezentowała się zbyt majestatycznie – większość płaskorzeźb i ornamentów zniknęła pod warstwą pleśni, a te, które przetrwały, sterczały smutno, nadgryzione zębem czasu. Cienie rzucane przez zatknięte w stojaki pochodnie tańczyły po wypłowiałym froncie ruiny, a puste otwory okienne patrzyły obojętnie na stojącego u progu przybysza.

Bren pchnął energicznie drzwi. Stracił już za dużo czasu. Wewnątrz dostrzegł zięjący pustką otwór w przeciwległej ścianie oraz kamienną podłogę, na której migotały odbicia płonącego

w kominku ognia. Pomieszczenie wypełniały zaniedbane stoliki rozstawione aż po szeroki szynkwias. Stała za nim istota o owalnej głowie. Opierała się o blat i wpatrywała w gościa.

– Witaj – rzekła niskim, chrapliwym głosem.

Trzy pionowe szczeliny, prawdopodobnie pełniące rolę oczu, rozjarzyły się na chwilę delikatnym światłem. Z trapezowatych ust, pokrytych gąbczastymi nalotami, wyciekła żółtawa piana.

Bren przywitał się skinięciem głowy. Istota była od niego wyższa, a jej muskularne ciało okrywała gruba, zielona i pomarszczona skóra. Nienaturalnie długie ręce zakończone były dłońmi, których palce miały przyssawki na opuszkach.

Stworzenie napięło rzędy łusek na ramionach, sięgnęło pod ladę i postawiło na niej kufel. Następnie chwyciło wężyk, zbliżyło jego końcówkę do ust i mocno zassało, po czym przyłożyło rurkę do naczynia. Strumień gęstej żółtej cieczy zaczął powoli wypełniać kufel. Dziwaczny karczmarz skierował głowę ku otworowi w ścianie, z którego dochodził świst wiatru.

Bren również tam zerknął. Wyrwę musiały kiedyś zasłaniać drzwi, bo dostrzegł wgłębienia po zawiasach. Powoli ruszył w kierunku tajemniczego wyjścia, wzbijając drobiny wiekowego kurzu. Pokryte pajęczynami pomieszczenie wydawało się nieużywane od lat. Jedynie szynkwias lśnił czystością.

Chłopak oparł dłonie o ścianę i ostrożnie wyjrzał przez otwór. Stał o krok od przepaści. Wiatr szarpnął jego płaszczem, a furkoczący materiał zaprosił do tańca tumany kurzu. Atramentowa noc, skąpana w zwiewnych oparach, zdawała się trzymać karczmę w lodowatej garści.

– Stamtąd przybędą – oznajmił gospodarz. Choć jego słowa mogły oznaczać cokolwiek, zerkający w pustkę Bren pierwszy raz zaczął się zastanawiać, czym naprawdę jest ten dziwny świat.

– To Parkan? – spytał.

– I tak, i nie – odparła istota.

– Konkretne miejsce jest czymś albo nie.

Szmer płynącej cieczy się urwał, a kufel zaszuwał po szynkwasiu. Karczmarz przyssał palce do blatu i zamrugał przedziwnymi oczami.

– Wędrowiec zdobywa górski szczyt, potyka się i spada w przepaść. Czy nadal jest w górach? – spytał gospodarz.

– Tak.

– Ale jeśli przyjrzeć się mu z bliska, to znajduje się w powietrzu, prawda?

– Prawda.

– Czyli zgadzasz się, że dopóki nie spadnie, jest bardziej w powietrzu niż w górach?

Bren skinął głową. Po chwili odsunął się od otworu i wbił spojrzenie w kufel. Karczmarz odessał palce od blatu, chwycił naczynie, po czym zakręcił nim, obserwując wirującą ciecz.

– Póki tu jesteś, wciąż lecis – rzekł.

– Co to jest? – spytał Bren, wskazując napój.

– Zapach intubu zwabia głosicieli. Daję głowę, że już go wychuli. Powinieneś zająć miejsce.

Wiatr zawył, a silny podmuch popchnął chłopaka, jakby na podkreślenie słów karczmarza. Stare krzesło zaskrzypiało, gdy Bren usiadł przy jednym ze stołów. Mimo wszystko wciąż nie potrafił się pozbyć pytań o świat Parkan.

– A to morze pełne baniek z istotami zamkniętymi w środku?

– To tylko droga.

– Potwory z mackami – kontynuował Bren. – Wyławiały te bańki i ustawiały w rzędy.

– Siewcy. Pomagają w prenarodzinach.

Chłopak zmarszczył czoło i wbił wzrok w karczmarza, oczekując dalszych wyjaśnień.

– Tak dochodzi do narodzin rasy – dodał. – Zanim pojawia się jej pierwsi przedstawiciele.

– Co masz na myśli?

– Widziałeś pierwowzory. Galaretowaci strażnicy rozsiewają je z pomocą anomalii po różnych światach.

– Anomalii? Tych samych, którymi Parkanie...

– Tych samych, którymi Parkanie łączą się z takimi jak ty. Tych samych, którymi wyruszacie na pielgrzymki, by wesprzeć lub unicestwić rasy.

Bren poczuł niepokój. Karczmarz zdradzał zdecydowanie za dużo. Przecież ta wiedza mogła zostać wykorzystana po powrocie do Estepii.

A może mówi tyle, bo nigdy stąd nie wróce?

Pionowe oczodoły istoty zapulsowały czerwienią.

– Nie będziesz o tym pamiętał – rzucił spokojnie gospodarz.

Usłyszeli łomot. Dźwięk inny niż wiatr czy skrzypienie mebli przypominał niekończący się krzyk.

– Muszę iść – powiedział gospodarz, zerkając nerwowo na otwór w ścianie. – Nie może mnie tu być, kiedy przylecą.

Pokłonił się Brenowi i sprężystym krokiem ruszył do drzwi wejściowych. Nacisnął klamkę.

– Zaczekaj – poprosił chłopak. – A Solar nie potrafiłby zrobić tego sam?

– Robić czego?

– No wiesz... rozwijać te wszystkie rasy. Skoro jest bogiem...

Istota przyglądała pomarszczoną skórę na udach.

– Wyobraź sobie oręż wykuty przez miliony pokoleń kowalskich mistrzów. Mieszanek kultur, gatunków, różnych spojrzeń na świat. Inne technologie, fizyczność, umysły. Eony pomyłek i sukcesów, aż wreszcie rezultat: perfekcyjna broń. Wyobrażasz ją sobie?

Bren poczuł, że drga mu żuchwa. Nagle wszystko stało się jasne. Szalone, ale jasne jak słońce, którego promieni tu nie wyczuwał.

– Chce stworzyć rasę idealną – oznajmił Bren. – Dobiera różne warianty, a my podczas pielgrzymek wpływamy na ich losy. Na bogów, sprawdzamy je w boju.

Otwór gębowy karczmarza się rozchylił, co mogło być uśmiechem lub grymasem złości.

– Ty to powiedziałeś – stwierdził, po czym zniknął za drzwiami.

* * *

Pomieszczenie wypełnił przenikliwy chłód. Drewniane ściany zaszkliły się warstwą szronu, a przez otwór w ścianie buchnęły skłębione opary. Bren patrzył z zaskoczeniem, jak nogi stołu ciemnieją, a gdzieś tam zaczynają się formować kryształki lodu. Mgliste wyziewy rosły, spiętrzały się i w końcu uformowały skrzydlate sylwetki utkane z popielatego dymu.

Wlepił wzrok w falujące postacie – ich wydłużone czarne ręce, masywne nogi, otulone mglistą powłoką korpusy oraz jedyny wyróżniający się element: jasne, świecące oczy. Trzy powstałe z dymu istoty otoczyły stół i w milczeniu wpatrywały się w siedzącego.

Chłopak wyprostował się, próbując pokazać, że nie czuje lęku wobec przybyszy.

– Niech uniesie rękę ten, którego Parkanin chce ze mną wrócić – rzekł stanowczo.

Miał plan. Wypracowany naprędce pomysł zakładał, że tylko jaźń Leby nie będzie skłonna opuścić tego miejsca.

Upiory zmrużyły ślepią. Dopiero teraz dostrzegł ich smoliste otwory gębowe. Pomimo skrzydeł te istoty nie przypominały Parkan. Miały długie wypustki przypominające palce, zmierzwiłone włosy, które otulała czapa mgły, oraz twarze emanujące obcością.

Sylwetki przestały falować. Klębiący się wokół nich dym przylgnał do granic niematerialnych ciał. Wyglądały teraz jak pomniki, dziwaczne wytwory nieistniejącego boga.

– Żaden z was? – rzucił Bren, czując narastającą irytację.

Sprytne bestie – pomyślał. *W ten sposób ich nie podejdę.*

– Niech każdy z was przypomni mi, w jaki sposób straciłem kontakt z Lebą. Zakładam, że potraficie mówić w sposób dla mnie zrozumiały.

Pierwszy upiór drgnął, po czym pochylił się nad stołem.

– Ukryty w Styksie Parkanin okazał się bratem Leby – powiedział mrocznym głosem. – Leba był przekonany, że Niak zginął podczas prób. Kontakt urwał się po ich rozmowie.

Drugie widmo podjęło natychmiast wątek, jakby rywalizując o uwagę Brena:

– Ostatnie, co pamięta Leba, to rozmowa z jego przeklętym bratem, który zakwestionował sens istnienia anomalii i podważył rolę Parkan.

Trzecia istota zbliżyła świecące ślepia do chłopaka i syknęła:

– Niak przekonywał, że magia służy jedynie władzy i torturom. Jego słowa wstrząsnęły wiarą Leby, a ten zapadł się w otchłań zwątpienia.

Bren analizował każde słowo, każdy niuans w wypowiedziach zjaw. Mimo że ich wersje różniły się detalami, to wszystkie mogły być prawdziwe.

Nie tędy droga – pomyślał gorączkowo. *Powinienem zmienić taktykę.*

– Jak poznałem Fausta? – rzucił do trzeciego upiöra. – Bez namysłu. Mów!

Zjawa wyrecytowała niemal mechanicznie:

– To harakun. Mieszkał na najniższym poziomie podziemnego miasta prastarej rasy. Byłeś świadkiem, jak ożywił zwłoki.

– Czyje to były zwłoki? – Bren przeniósł spojrzenie na drugiego upiora i wskazał go dłonią.

– Męża Ines, mieszkanki Azylu. Wszyscy wierzyli, że nieszczęśnik spadł ze skalnego pierścienia, ale prawda okazała się inna. Faust go zamordował, by praktykować nekromancję na jego ciele.

Ręce Brena zaczęły drżeć. Te zjawy wiedziały wszystko. Jego przeszłość była dla nich jak otwarta księga.

Blizniaczka miała rację – pomyślał. Wybiorę fałszywego i wrócę do Estepii z szaleńcem.

– Czy Ines wie, że to Faust zabił jej męża? – spytał pierwszego. Upiór pokręcił widmową głową.

– Nie wie. Wciąż się łudzi, że jej mąż żyje. W zamian za sekret pielgrzymek, podczas których zdobywa się nowe zaklęcia, obiecałeś Faustowi, że nigdy nie zdradzisz prawdy.

– Czy Ines ma dzieci?

– Ma córkę, Avę! – krzyknęły wszystkie zjawy jednocześnie.

– Dziewczynka wpadła w łapy Styksa – dodała pierwsza.

– Czy Ava ma talent magiczny?

– Tak!

– Na czym polega?

– Potrafi narysować scenę z przyszłości. Dostałeś od niej rysunek przedstawiający atak harpii. To wydarzenie miało miejsce jakiś czas później.

Bren czuł, że rozmowa zmierza donikąd, a mimo to pytał dalej, analizował ruchy zjaw, mowę ich falujących ciał, szybkość odpowiedzi. Wtem wpadł mu do głowy pomysł na trudniejsze pytanie.

– Jak wiecie, losy Ines i Fausta splotły się na wyspach niewolników – zaczął ostrożnie.

– Została jego służącą – potwierdził jeden z upiorów.

– Tak – przyznał Bren. – A czy ona coś przed Faustem ukrywa?

Upiory pokiwały utkanymi z dymu głowami i zaczęły przekrzykiwać się nawzajem. Mówiły o magicznym rysunku przedstawiającym Ines wbijającą nóż w serce Fausta. Bren doskonale pamiętał, że kobieta ukrywała ten podarunek od córki. Choć nie rozumiała jego znaczenia, robiła wszystko, by harakun nigdy go nie znalazł. Wielokrotnie się zastanawiał, czy scena uwieczniona na pergaminie rzeczywiście kiedyś się wydarzy.

To koniec. Jestem zgubiony – pomyślał, czując, jak zimny pot spływa mu po plecach. Każdy z upiórów mógł być głosicielem Leby. Każdy z nich równie dobrze mógł być szaleńcem. Ach, czemu nie wybrał sadzawki? Wróciłby do swojego świata zdrowy. A co, jeśli teraz wyjdzie z karczmy i ruszy do zbiornika? Pokręcił głową. Na pewno spotka go kara. Wytrzeł spocone dłonie o spodnie.

Jak to jest mieć w głowie szaleńca? – zastanawiał się, omiatając wzrokiem kołyszące się zjawy.

Wiedzą o wszystkim od momentu połączenia do momentu rozstania. Mają wgląd do wspólnych wspomnień. Zaraz! To znaczy, że ci fałszywi nie znają przeszłości Leby, która i mi nie jest znana. A co, gdybym zapytał o coś przed spotkaniem? Otrzymam różne odpowiedzi. Czy rozpoznam, kto mówi prawdę?

Upiory obserwowały go podejrzliwie. Ich oczy płonęły niecierpliwością.

Co musieli czuć Parkanie, którzy zbyt szybko weszli do anomalii? – pomyślał Bren. *Błądzili tu przez wieki, rozjuszeni, ogarnięci obsesją na punkcie ucieczki.*

A gdyby tak wykorzystał tę obsesję? W głowie pojawił się załazek fortelu. Musi tylko dobrze odegrać swoją rolę. Co jak co, ale życie go nauczyło, jak udawać.

Na zewnątrz trzasnął piorun, a ulewny deszcz zabębnił o dach. Porywisty wiatr zaczął uderzać w ściany karczmy.

Bren wyrównał oddech, zwilżył usta językiem, po czym stuknął palcami o blat.

– Opowiem wam o czymś, co się nigdy nie wydarzyło. Chcę usłyszeć, jak w tej sytuacji zachowałby się Leba.

Upiory wydawały się zaciekawione. Pochyliły się nad stołem i dmuchnęły kłębami pary.

– Skąd mamy wiedzieć, jaka odpowiedź jest prawidłowa? – spytał jeden.

– Nie będziecie.

– Więc jak ocenisz, który z nas mówi prawdę?

– Tylko jeden z was jest jaźnią Leby, wiem, jakie wyznaje on wartości.

Zjawy spojrzały na siebie wyraźnie zaniepokojone. Bren zauważył, że przez cały czas dostosowują swoje zachowania do pozostałych. Kiedy którakolwiek nieruchomiała, pozostałe robiły to samo.

– Liczy się tylko pierwsza odpowiedź. Kto się zawaha i nie odpowie szybko, odpada. Jasne?

– Jak to „odpada”? – dopytała zjawa.

– Nie zadam już żadnych pytań. Zaczynamy?

– Zaczynamy – podjęła inna z mroczną ekscytacją w głosie.

Bren zamknął powieki, a potem wypalił z szybkością huraganu:

– Leba za młodu widzi, jak inny Parkanin potyka się na krawędzi skały i spada wprost do anomalii. Wie, że jeśli ruszy mu z pomocą, sam również może wpaść do niej zbyt wcześnie. Co zrobi? Szybko. Ty pierwszy!

– Skoczy, by go ratować! – odparł błyskawicznie upiór.

– Ruszy na pomoc – dodał drugi.

Bren wskazał trzeciego:

– A ty? Szybko!

Zjawa milczała.

Dwie pozostałe zafalowały z wściekłością, dopiero teraz dostrzegając fortel. Bren poprawił się na krześle i powiedział do milczącego:

– Twój Parkanin nie chce stąd odejść, prawda? W odróżnieniu od nich – wskazał pozostałe upiory – on nie ma zamiaru wracać. Wybieram ciebie.

– Zdrajco! – jęknęła jedna z postaci, a następnie rozplynęła się w świetle pochodni.

– Ty podstępna szumowino! – syknął drugi upiór, po czym zniknął w mglistym kłębie.

Milcząca postać wciąż falowała i zerkła na Brena beznamyślnie.

– Niech tak będzie. Zawołam go – rzekła cicho, a następnie ruszyła w stronę ziejącego wiatrem otworu. – Muszę przyznać, że to było sprytne.

* * *

Furkotu skrzydeł nadlatującego Parkanina nie można było pomylić z niczym innym. Świst piór tnących powietrze, potężny łoskot rozchodzący się w mroku, jakby sam wiatr ugiął się pod jego ciężarem, uderzenie pazurów o próg – wszystko to sprawiło, że Bren instynktownie wstrzymał oddech.

Leba.

Pierwszy raz widział go z tej perspektywy. Był piękny niczym spiżowy pomnik mistrza rzeźbiarzy. Zwinięte skrzydła nie mieściły się w otworze, więc Parkanin schylił się, by wejść do pomieszczenia, po czym wyprostował umięśnioną sylwetkę. Przejechał dłonią po mokrych, przyklejonych do ramion blond włosach, uniósł się na palcach i opadł na pięty. Z białocząrnymi piór spłynęły dziesiątki kropel.

Szerokie, potężne ramiona z wyraźnie zarysowanymi barkami zdawały się stworzone do walki. Szczupła talia idealnie podkreślała

proporcje między masywną klatką piersiową a szerokimi biodrami. Imponujące, mocne nogi, opierzone uda i stopy zakończone wysuniętymi pazurami przywodziły na myśl stworzenie, które po trafiłoby ranić przeciwnika jednym ruchem.

Bren nie mógł oderwać wzroku od tej boskiej symetrii. Sylwetka Parkanina budziła respekt, a jednocześnie fascynację. Pióra kończyły się tuż pod brodą, gdzie zaczynała się ludzka twarz – wyraźnie zarysowana szczeka, gęste, jasne brwi i brązowe oczy.

W przygaszonym spojrzeniu Leby kryło się coś lodowatego. Serce zakołatało w piersi Brena, a łzy same napłynęły do oczu. Doskoczył do przyjaciela i wtulił się w puch na klatce piersiowej. Objął go, lecz ten nie odwzajemnił uścisku.

– Nie mam już sił, by walczyć, Bren.

– Lebo...

Parkanin się odsunął i spojrzał na niego tak smutno, że chłopak aż struchlał z obawy o to, co za chwilę usłyszy.

– Parkanin bez wiary jest jak człowiek bez serca. Może żyć dalej, tylko po co? Wszystko, w co wierzyłem, upadło.

– Nic nie upadło!

– Wszystko. Sens życia Parkan, sens podróżowania przez anomalie, niesienie wsparcia.

– Lebo, co ci się stało? Chcę to zrozumieć!

Skrzydlaty omiółł spojrzeniem karczmę. Zatrzymał wzrok na kufu wypełnionym złocistym płynem, a po chwili powrócił do Brena.

– Kiedy dzień nie był jeszcze rozdzielony od nocy, Solar postanowił stworzyć nową rasę: Parkan. Dał im skrzydła, a ciała pokrył piórami. Zamiast serca umieścił w nich konstrukt i wtłoczył do jego wnętrza wiarę. Zostawił trochę wolnego miejsca na inne wartości, by Parkanie się od siebie różnili. Zabrakło jednak przestrzeni na miłość, więzi rodzinne... Nawet cierpienie odczuwam inaczej niż ty.

– Ale... dlaczego? Dlaczego zrobił coś takiego?

– Bo potrzebował oddanych sprawie eksperymentatorów. Istot tak odważnych, że poświęcą rodzinę, własne życie i wyruszą przez anomalie do obcych światów, by nie tylko wspierać inne rasy, ale i wpływać na ich losy.

– Wiedziałeś o tym od początku?

Parkanin wzruszył ramionami.

– Dowiedziałem się tego tutaj, w Przedsionku.

– Ale jak tu trafiłeś? Co to za świat?

Leba zerknął przez ramię na ziejący pustką otwór.

– Miejsce pokutne – odparł z rezygnacją. – Więzienie dla niecierpliwych, którzy zbyt szybko wejdą do anomalii.

– Przecież to nie twój przypadek.

Skrzydlaty uniósł dłoń, prosząc, by Bren dał mu dokończyć.

– Solar wiedział, że gdy dojdzie do połączenia z innymi istotami, wystawi nas na ich wpływ. Zaakceptował zmiany zarówno na lepsze, jak i na gorsze. Uznał, że prawdziwy eksperyment nie może zawierać wyłącznie pozytywnych czynników. Dlatego najbliższe Parkaninowi osoby mają możliwość wpływania na zawartość konstruktu.

– Nie bardzo rozumiem.

– Najbliżsi ładują konstrukt swoją wiarą, ale jak widać, mogą ją także z niego wyssać.

– I co wtedy?

– Tacy Parkanie trafiają do Przedsionka i powoli zapadają się w otchłań. To zabezpieczenie Solara. Zgodnie z jego planem Parkanin powinien żyć dzięki wierze albo nie powinien istnieć wcale. Kiedy Niak mówił, że równowaga powinna być zapewniona przez samych żyjących, że siła jest w każdej istocie... Wtedy coś we mnie pękło. Poczułem, jak moje wnętrze wypełnia pustka, jak coś mnie wzywa i odrywa od ciebie, Bren.

– Solar jest okrutny.

– Nie mów tak. Miał prawo stworzyć coś na swoich zasadach.

Bren pogrążył się w myślach. Opowieść przyjaciela była fascynująca, ale sposób, w jaki Leba mówił: obojętnie, niewzruszenie – wywoływał niepokój.

Czy Niak świadomie wysłał z brata wiadomość? Czy mam szansę wyścignąć Lebę z tego stanu?

Spojrzał na niego ukradkiem i uspokoił chaotyczne myśli.

– Siła jest w każdej istocie? – spytał. – We mnie też? Zanim cię poznałem, byłem złodziejem, myślałem wyłącznie o sobie.

– I spójrz, ile miałeś siły, by się zmienić!

Bren pokręcił głową, sięgnął po dłoń Parkanina i ścisnął ją mocno. Była zimna, jakby pusty konstrukt wyziębił ciało skrzydlatego.

– To ty jesteś moją siłą, Lebo! Nauczyłeś mnie odczuwać, patrzeć na świat inaczej. Pokazałeś, jak walczyć o innych.

– To nie ja...

– Nie bezpośrednio. Nigdy nie zmieniłbym się pod wpływem słów czy nakazów, nawet twoich. To ty spowodowałeś, że odkryłem lepszą wersję siebie. I wiesz co? Za żadne skarby nie chcę wrócić do poprzedniego życia.

Leba poruszał skrzydłami, a chłodne podmuchy powietrza owiały Brena.

– Połączenie z tobą to najlepsze, co mnie w życiu spotkało – ciągnął rudowłósy.

– I nie mówisz tego tylko dlatego, że stało się coś, z czym sobie nie radzisz?

Bren wypuścił wolno powietrze i spuścił wzrok. Napięty kark piekł, a po gardle niosło się echo walącego serca. Miał wrażenie, że dłoń Leby stała się odrobinę cieplejsza. Spojrzał na przyjaciela.

– Oczywiście, że cię potrzebuję, ale...

– A więc jednak...

– Co „jednak”?

– Wpakowałeś się w kłopoty, nie możesz rzucać czarów. O to chodzi, prawda?

Bren opuścił ramiona. Wiedział, co chce powiedzieć, ale nie potrafił dobrać odpowiednich słów. Wbił wzrok w unoszącą się i opadającą klatkę piersiową Leby.

– Widziałem sadzawkę – zaczął powoli. – Woda w niej przywraca zdrowie sprzed połączenia.

– Tu, w Przedsionku?

– Tak, na dole, przy schodach. Po obmyciu się w niej wróciłbym zdrowy. Sam.

Leba przyglądał się mu uważnie, lustrując zrośnięte palce i popękaną pęcherze na obojczyku. Bren mocniej ścisnął dłoń przyjaciela.

– Bez ciebie, rozumiesz?

– I ty...

Oczy rudowłosego się zaszkliły. Wyobrażał sobie tę rozmowę tyle razy, ale nie spodziewał się, że tak trudno będzie mu mówić z przyjacielem twarzą w twarz.

– Z dnia na dzień tracę pamięć – zaczął drżącym głosem. – Nikomu o tym nie mówiłem, ale niektóre wspomnienia odchodzą bezpowrotnie. Zapominam chwile z dzieciństwa, z trudem przypominam sobie wydarzenia sprzed kilku lat. Od tygodni nie mogę spać na plecach, tak bardzo bołą mnie te przekłute pęcherze. Moje dłonie... – Urwał, spoglądając na nie. – Po wejściu do tej sadzawki mogłbym znowu rzeźbić. Dobrze wiesz, jak bardzo mi tego brakuje.

– Więc czemu tego nie uczyniłeś?

Popatrzył odważnie na Lebę. Czuł drżenie w gardle. Fale ciepła omiały jego plecy z góry na dół.

– Bo cię kocham, bracie. Wyciągnąłeś do mnie dłoń, gdy na to nie zasługiwałem. Teraz pozwól, że to ja pomogę tobie.

Parkanin rozszerzył oczy, a w ich głębi coś zaśniło. Nareszcie. Nareszcie słowa wywarły na nim wrażenie. Leba rozglądał się po

pomieszczeniu, jakby układał coś w głowie. Bren poczuł, że jego dłoń staje się coraz cieplejsza.

– Tak długo wierzyłem – szepnął Parkanin – że zostałem wysłany, by wspierać, by obdarzać darem magii.

– Nadal w to wierzę – rzekł cicho Bren.

– Magia nie przynosi nic dobrego. Jest wykorzystywana do zadawania bólu.

– Bajki! Niak cię okłamał, by zachwiać twą wiarą.

– Widziałeś Styksa. Pamiętasz jego opowieści o magicznych torturach. Magia to nic innego jak narzędzie do sprawowania władzy.

– Lebo. – Bren nachylił się nieco do przyjaciela. – Jak wiele pokoleń żyło tu i na innych światach przed nami?

– Dużo.

– Styks i Niak mordują Bezsennych, a bez nich przestaną się pojawiać anomalie, magia zaniknie. Ci szubrawcy zmieniają zasady działające od eonów. Uważasz, że twój brat jest prorokiem, który objawił się po tysiącach lat?

Leba milczał. Wytarł dłoń o klatkę piersiową. Bren nie ustępował. Czuł, że jest na dobrej drodze. Wiedział, że jego słowa powoli rozpraszają mroczne chmury spowijające duszę przyjaciela.

– Jak myślisz, dlaczego ujrzałeś mnie w anomalii, zanim to w ogóle było możliwe? – dążył.

Parkanin spojrzał na niego z uwagą. Obraz tamtego dnia wrócił do niego z pełną jasnością: wizja w anomalii, którą opowiedział Oddanym, a zaraz potem decyzja Jedni, by stanął do Zaślubin Krwi jako najmłodszy w historii. To wtedy najtwardszy z kamieni rozprysnął się pod wpływem kropli jego krwi.

Bren wskazał go zrośniętymi palcami.

– Bo Wielki Nawigator wiedział, że to właśnie ty masz największe szanse na powstrzymanie Niaka. Jesteście braćmi.

Parkanin uniósł wzrok, a na jego twarzy pojawił się cień niepewności.

– Bren...

– Pokonałeś wyzwania na Wyspie Prób. Wszedłeś do anomalii, trafiłeś do mojego wnętrza. To nie przypadek. Razem mamy szansę zatrzymać Niaka. Ty możesz być jego największą słabością, tak samo jak on jest twoją.

– Nie potrafię się mu przeciwstawić...

– Za to ja potrafię. Wiem, jak go pokonać.

Leba zmarszczył czoło i wbił w Brena zaniepokojony wzrok.

– Zabić? – spytał ostrożnie.

– Niekoniecznie. Istnieje forma magii silniejsza od zaklęć. Nie można jej zablokować. To lustrzany rozkaz: magiczne polecenie dopasowane do konkretnego maga.

– O czym ty mówisz?

– Pewna osoba zdradziła mi, że mam szansę się tego nauczyć. Twierdzi, że mój rozkaz może oderwać Parkanina od istoty, w której przebywa. Wyobraź sobie, Lebo, mógłbym na zawsze oddzielić Styksa od Niaka.

Leba się zadumał. Przeciągnął dłońmi po włosach. Zaciśnięte szczęki zdradzały wewnętrzną walkę.

– Co się z nim wtedy stanie? Z Niakiem?

– Nie będzie już polował na Bezsennych. Styks, pozbawiony magii, stanie się zwykłym rzezimieszkiem. Przecież o to od początku walczyliśmy, pamiętasz?

Parkanin kiwnął ostrożnie głową.

– Jak można się nauczyć tego rozkazu?

– Na wschodnim wybrzeżu Yodgorlik ponoć mieszka nauczyciel. Wygnano go z Cesarskiej Łoży.

– Za co? – Leba uniósł brew.

– Cesarz ponoć przeraził się potęgi rozkazów. Zlikwidował całą specjalizację w akademii. – Bren przełknął ślinę, po czym dodał z wyczuwalną nutą nadziei: – Wciąż mam kłopoty, ale wierzę... wierzę, że twoja magia pomoże mi wyjść z nich cało.

Leba odwrócił głowę i wbił wzrok w czerń poza budynkiem. Cisza między nimi zdawała się trwać wieczność. Kiedy w końcu ponownie spojrzał na Brena, w jego oczach można było dostrzec błysk światła, którego wcześniej tam nie było.

– Jak się tu dostałeś? Zjadłeś sennik?

Bren spuścił głowę. Milczał. Leba kucnął, by spojrzeć mu w twarz.

– Trochę cię znam i wiem, że akurat ta mina nie oznacza nic dobrego.

– Glistnik – wybąkał rudowłosey.

– Rozwiniesz?

– To trucizna.

– Otrułeś się?

– Nie miałem sennika!

– Bren, czy ty słyszysz sam siebie?!

– Umierałeś!

– A teraz ty umierasz, barani łbie!

– Ale mam plan.

Leba fuknął i wstał.

– Chwila rozłąki i postradałeś zmysły.

– „Chwila”? Nazywasz to chwilą? Torturowano mnie, zostałem niewolnikiem, walczyłem z demoniczną ośmiornicą wielkości fre-gaty. To więcej niż kilka pieprzonych miesięcy.

– Jak wrócić do twojego świata?

Bren się rozpromienił.

– Naprawdę? Chcesz powiedzieć...

– Na razie tylko pytam.

– Musimy poczekać. Zadra i Pieprz podadzą mi odtrutkę. Jeśli zadziała...

Leba spojrział na niego z obawą.

– „Jeśli zadziała”? „Jeśli zadziała”?! Właśnie mi przypomniałeś, jak bardzo jesteś nie zrównoważony psychicznie!

Bren westchnął przeciągle.

– Jest jeszcze coś...

– Nie mogę się doczekać, aż to usłyszę.

– Jeśli zgodzisz się wrócić, wyruszysz na pielgrzymkę. Beze mnie.

– Jak to bez ciebie? – zdziwił się Parkanin.

– Tak mówiły bliźnięta.

Bren chwycił drugą dłoń przyjaciela i przyciągnął go bliżej. Serce waliło mu jak nigdy dotąd. Wiedział, że decyzja zapadła, i pragnął ją poznać bardziej niż wszystko inne.

– Wrócisz?

Leba spojrział na zaciśnięte dłonie, jakby to w nich szukał odpowiedzi. Powiódł wzrokiem po karczmie, rozwinął skrzydła.

– Najwyraźniej ty również masz klucz do mojego konstruktu. Czuję, że jest w nim więcej wiary, a twoje słowa mają sens.

– To właśnie chciałem usłyszeć.

– Ale...

Nastąpiła cisza. Wpatrzony w przyjaciela Bren zakołysał się na piętach.

– Nie jestem już tym samym Lebą – dokończył Parkanin. – Czuję, że mój konstrukt ma skazę.

Rozdział 2

Czas umierać

Leba leciał. Jeszcze chwilę temu widział zakurzone stoły karczmy, a teraz ciął skrzydłami pierzynę chmur leniwie snujących się po słonecznym niebie.

– *A więc wyruszyłem na pielgrzymkę. Jesteś tam, Bren?*

Cisza. Nie wyczuwał bicia serca towarzysza, nie słyszał jego oddechu.

Był sam. Zdezorientowany, wyzuty z emocji, niepewny, co właściwie ma teraz robić. Pragnął wrócić do miejsca, gdzie wszystko było jasne, choćby miało oznaczać wegetację – wyczekiwanie jak leżący na skorupie żółw wypatrujący końca.

Spojrzał w dół i obniżył lot. Zatoczył koło. Złowił intensywny, słodki zapach. Okolice była porośnięta rzadkim lasem. Dostrzegł też sporej wielkości jezioro pokryte liśćmi, z których wyrastały jasnoczerwone kwiaty. Ich rozwinięte pręciki w kolorze miodu zdawały się poruszać, jakby go obserwowały.

Dawniej ten widok przyniosłby mu radość. Teraz nie czuł nic. Poszukał miejsca do wylądowania. Przy brzegu jeziora zobaczył pomost, który wcinał się na kilkadziesiąt kroków w wodę. Na jego końcu siedziała zgarbiona postać odziana w zwiewne kolorowe szaty. Poruszała nogami w zadumie, wpatrując się w gęsty

kożuch liści na powierzchni jeziora. Musiała go dostrzec, bo uniosła głowę.

Przypominała człowieka. Wydatne kości policzkowe nadawały jej arystokratyczny wygląd, a wysokie czoło tylko to podkreślało. Ciemnoczerwone włosy splecione w warkocz kołysały się, gdy wodziła za nim wzrokiem. Tak, to musiała być kobieta.

Młoda kobieta – ocenił.

Przefrunął nad nią, obserwując, jak się odwraca. Wstała, kiedy postawił stopy na pomoście. Przez chwilę milczeli. Przyglądali się sobie wzajemnie, chłonąc niecodzienne sylwetki. Dziewczyna przemykała spojrzeniem zielonych oczu po jego skrzydłach, a on z uwagą badał jej zgarbioną, nienaturalnie pochyloną posturę.

Nie miała broni, przynajmniej nic takiego nie rzuciło mu się w oczy. Tym niemniej jej wygląd wywoływał niepokój: wygięte w łuk plecy, szerokie barki. Mocne nogi miała ugięte, bujała się na nich lekko, przez co wyglądała, jakby szykowała się do skoku. To jednak oczy przyciągały uwagę najbardziej – głęboko osadzone, lśniące jak szmaragdy. Intensywność ich blasku zdawała się pulsować w rytmie jej oddechu.

Z kształtnych ust o barwie jagód padło pytanie:

– Jesteś nim, prawda?

– Jestem pielgrzymem – odparł.

Pokiwała głową. Coś na kształt uśmiechu przemknęło przez jej twarz i szybko zgasło. Odwróciła głowę w stronę jeziora, a masywne mięśnie szyi uwydatniły się niczym korzenie wyrwanego drzewa.

Ponownie spojrzała na przybysza i pochyliła się w jego stronę.

– To znak – rzekła. – Powinnam poznać datę.

Leba złożył skrzydła. Jego wzrok spoczął na warkocz, który przesunęła na pierś.

– „Datę”? – spytał.

– Ten dzień. Ten rok.

Sporej wielkości ryba wyskoczyła nad wodę, zatańczyła ogonem po tafli i zniknęła z chlupotem pośród rozchodzących się kręgów.

– Wahałam się – powiedziała cicho. – Przesiaduję tu tygodniami, dumam. Twoja obecność to dowód, że powinnam ją znać. Pomożesz mi?

Skinął głową.

Zazieleniona skóra jej twarzy się napięła. Dziewczyna odwróciła się do niego plecami. Sięgnęła brzegów purpurowej bluzki i uniosła ją, odsłaniając nagie plecy.

Leba znieruchomiał. Od podstawy jej czaszki biegł szeroki kręgosłup, który na wysokości łopatek rozdzielał się na dwa odrębne, by później połączyć się w okolicy bioder i przejść w kość ogonową. Gęsta sieć mięśni, oplatająca te niezwykle kręgosłupy, tworzyła skomplikowany, niemal lustrzany labirynt.

Dziewczyna wygięła prawą rękę i wskazała palcem wgłębienie między dwoma kręgosłupami, a zarysowana pod skórą muskulatura się naprężyła.

– W tym punkcie – wsunęła palec między łuki kręgosłupów – odnajdziesz dwa symbole. Kropki.

Leba wyteżył wzrok, lecz widział jedynie zielonkawą skórę i połamane mięśnie.

– Podejdź bliżej i zjrzyj głębiej. Nie bój się.

Jej głos drżał. Dziewczyna trzęsa się niczym chory w obawie przed śmiertelnym wyrokiem znachora.

– Kropki po lewej będą czerwone, a te po prawej czarne – rzuciła zimnym tonem.

Leba wykonał krok naprzód. Poczul jej zapach. Leśny, drzewny, połączenie woni liści kasztanowca i mokrej trawy. Pochylił się, by dostrzec cokolwiek między kręgosłupami. Istota jeszcze bardziej wygięła plecy, a kościste łuki się rozsunęły.

– Wi-idzisz je? – spytała rwącym się głosem.

– Tak.

– Policz czerwone i czarne – poleciła stanowczo. – To ważne, byś żadnej nie pominął.

Leba dotknął palcem jej skóry, chcąc wyprostować ją na zgięciach. Była delikatna niczym tkana na wietrze pajęczyna, jakże odmienna od tej na karku, wyglądającej na napiętą i szorstką.

– Ile ich jest?

Dlaczego ona się boi? – zastanawiał się.

Zmrużył oczy, by lepiej widzieć, i przesunął palcem po czerwonych kropkach.

– Albo nie! Nie mów mi.

Dziewczyna drgnęła, jakby chciała się wyprostować, ale zaraz znieruchomiła. Cofnął rękę.

– Wybacz – dodała po chwili. – Wybacz moje wahanie. To dla mnie trudny moment. Wyjaśnię ci to potem. – Westchnęła. Jej długie ręce sięgnęły kolan, wzrok utkwiała w pierścionku na serdecznym palcu. – Niech będzie – wyszeptała. – Powiedz mi.

– Trzy czerwone.

Opuściła głowę. Stała w bezruchu, wpatrzona w kwiaty na jeziorze. Jej nogi zaczęły drżeć.

– I siedem czarnych – dodał cicho.

– To wszystko – mruknęła oziębło. – Dziękuję.

– Miałas mi coś wytłumaczyć. Rozwiązałem twój problem?

Poruszyła głowę, a warkocz przypominający splątane, jedwabne nici zaszułał o materiał bluzki, gdy ją opuściła.

– Problem?

– Jestem pielgrzymem. Rozwiązuje problemy.

– Wiem, kim jesteś. Nauczają o was na lekcjach wiary. – Dziewczyna usiadła na pomoście, odwrócona do niego plecami. – Polec do budynku rady. Tam wszystkiego się dowiesz.

– A ty? – spytał, zerkając w kierunku, który wskazała.

– Ja będę świętować swoje dwudzieste urodziny. Sama. Możesz mnie zostawić? Proszę.

Rozwinął skrzydła i wzbił się w powietrze. Woń kwiatów uderzyła w jego nozdrza ze wzmożoną siłą, a dźwięk cichego szlochu dziewczyny odbił się echem od przezroczystej tafli jeziora.

* * *

Za lasem ujrzał przycupnięte w dolinie miasto o dziesiątkach smukłych budowli. Poprzecinane siatką rzek i mostów wyrastało z dumą między kołyszącymi się nielicznymi drzewami. Po rzekach sunęły łodzie z napiętymi wiatrem żaglami, a brukowanymi ulicami i wygiętymi mostami przechadzali się mieszkańcy, przypominający spotkaną wcześniej dziewczynę. Na widok przybysza przystawali i wskazywali go długimi kończynami, wyraźnie poruszeni jego obecnością.

Nad miastem górowała okrągła budowla bez dachu. W jej centralnym punkcie, na podeście otoczonym kanałem z wodą, znajdowała się mównica. Przebywająca na niej istota przemawiała do zgromadzonych na balkonach powyżej. Leba nie słyszał słów, ale nerwowe wymachiwanie rękoma nie wróżyło przyjacielskiej pogadanki. Pomyślał, że to musi być budynek rady.

Na czterech podwieszonych tarasach, oznaczonych kolorowymi sztandarami, zasiadali przedstawiciele poszczególnych frakcji. Było w nich coś prymitywnego i arystokratycznego zarazem. Zwierzęce ciała nabite mięśniami, pochylone w sposób, który mógłby sugerować dzikość, kontrastowały z twarzami emanującymi mądrością i spokojem.

Leba wylądował blisko mównicy, a przemawiająca istota urwała w połowie zdania i powiodła po nim zaskoczonym wzrokiem.

– Witaj, skrzydlaty przybyszu – rzekła z mieszkanką ciekawości i ulgi. – Pojawiłeś się w najlepszym możliwym momencie.

Mężczyzna był znacznie szerszy w barkach od spotkanej dziewczyny. Miał krwistoczerwone włosy, lekko szpiczaste, wygięte do tyłu uszy i białe jak mleko oczy. Jego długa toga z szerokimi, posrebrzanymi rękawami dodawała mu wytworności. Nieznajomy podszedł do jednego z półkolistych wyjść, zniknął w nim, by po chwili pojawić się na balkonie, gdzie powiewał purpurowy sztandar z symbolem srebrnej tarczy.

– Pewnie pragniesz nas o coś zapytać.

– Kim jesteście?

Mężczyzna złożył mu pokłon, a w jego ślady poszli pozostali. Leba zauważył, że na niektórych balkonach zasiadało znacznie więcej kobiet. Nigdzie jednak nie dostrzegł dzieci.

– Nazywamy się Walerianami – oznajmił, prostując się. – Jesteśmy pokojową rasą, gardzimy przemocą. Naszymi najważniejszymi wartościami są jedność i braterstwo.

– Te wartości możemy uznać za nieaktualne, Altusie – przerwała mu kobieta w białej todze. Jej rdzawe, sięgające do pasa włosy lśniły równie mocno jak wypełnione gniewem spojrzenie. Stała ze skrzyżowanymi rękoma, emanując pewnością siebie.

Dziesiątki istot zwróciły na nią wzrok. Ich lekko wydłużone, ostre zęby przypominały kły drapieżników, tworząc niepokojący kontrast dla spokojnych spojrzeń.

Altus chrząknął, pogładził wkradającą się na czoło łysinę i po kiwał głową.

– Pośród nas trafił się jednak złodziej – rzekł, kładąc akcent na ostatnie słowo.

Wiele osób wymamrotało coś gniewnie pod nosem, niektórzy opuścili głowy, spojrzenia pozostałych płonęły wstydem.

– Złodziej na tyle bezczelny – kontynuował – że pokusił się o kradzież świętej relikwii. – Napiął mięśnie barków i wyszczerzył zęby. Przypominał gotową do ataku bestię. – Relikwia została

odnaleziona, ale mimo to bogowie zesłali na nas klątwę, która trwa do dziś. Większość z nas sądzi, że zostanie z nami na zawsze.

– Wybacz, że przerywam twoje żale, Altusie – odezwała się kobieta, która zabrała głos wcześniej – ale muszę je sprostować.

Podeszła do balustrady i oparła na niej dłonie. Przyjrzała się powiewającemu obok zielonemu sztandarowi z symbolem kielicha.

– To nie klątwa ani zemsta, tylko dar – rzekła twardo. – Dar od bogów. Jedynie ignoranci jak ty mogą uważać podarunek za przekleństwo.

Altus skrzyżował ręce na piersi.

– Najważniejszy jest przekaz, a nie nazewnictwo, Pandoro – powiedział chłodno.

Prychnęła.

– Używając słowa „klątwa”, sugerujesz naszemu gościowi, że sprawa ma złą naturę – syknęła. – A na to my, Wiedzący, nie wyrażamy zgody. Pamiętaj, jakie zadanie przed nim stoi.

Zgromadzone w pobliżu niej istoty uniosły się na krzesłach, a po chwili to samo zrobili towarzysze Altusa.

– Mam propozycję – rzekł starszy mężczyzna z trzeciego balkonu, a zebrani odwrócili głowy w jego kierunku. – Nie używajmy ani zwrotu „klątwa”, ani „dar”.

– Więc jak to nazwać?

Starzec rozejrzał się z odwagą w oczach po zgromadzonych.

– Przypadłość – zaproponował. – Coś nowego. Coś, czego nasi przodkowie nie mieli.

– Przypadłość – powtórzyła Pandora. – Brzmi pejoratywnie, ale niech ci będzie, Przechowalniku.

– Niech będzie – potwierdził Altus po chwili ciszy.

Leba przyjrzał się starcowi w szarej todze ozdobionej na piersi symbolem skrzyni. Spore zakola na połyskującej zielenią skórze, pociągłe rysy twarzy, lekko skrzywiony nos i szkliste, emanujące

spokojem oczy nadawały mu dostojny wygląd. Wokół niego siedzieli głównie mężczyźni odziani w identyczne szaty.

Postanowił przejąć inicjatywę. Kto wie, ile zostało mu czasu na porządzenie sobie z tym wyzwaniem.

– Co to za przypadłość? – spytał głośno, tak by wszyscy mogli go usłyszeć.

– Setki lat temu – rzekł szybko Altus – po kradzieży relikwii wszystkie waleriańskie dzieci zaczęły się rodzić ze znamionami na prędze.

– Prędze?

Mężczyzna się odwrócił i wskazał zagłębienie między rozszczepionymi kręgosłupami. Leba poczuł niepokój. Doskonale wiedział, co miał na myśli.

Trzy czerwone kropki i siedem czarnych – przypomniał sobie dziewczynę znad jeziora.

– Nasi przodkowie długo głowili się nad znaczeniem znamion – ciągnął Altus.

– I nadal nie jesteśmy pewni, czy dobrze to rozumiemy – wtrąciła kobieta z ostatniego, czwartego balkonu, na którym zasiadała garstka osób.

Mężczyzna machnął lekceważąco dłonią w jej stronę, jakby chciał odgonić muchę.

– Pewnego dnia – kontynuował – uczeni odkryli przerażającą prawdę.

– Słowa – warknęła Pandora. – Zważaj na słowa.

– Odkryli, co oznacza ta... przypadłość – poprawił się z widoczną niechęcią.

Leba spojrział w jego przygaszone oczy. Altus potarł dłońmi poręcz balkonu i zwiesił głowę.

– To wiek, jaki osiągniemy w godzinie naszej śmierci – wyjaśnił, a jego głos się załamał.

– Jak to?

– Suma czerwonych kropek to dziesiątki, a suma czarnych to jedności. Razem tworzą liczbę. Liczbę lat, które każdy z nas przeżyje.

– Nie bardzo rozumiem.

– Czegóż tu nie rozumieć? – Głos Altusa zdradzał podenerwowanie. – Skrywamy na plecach lata, które dane nam będzie przeżyć.

Leba przytrzymał się mównicy, czując, jak mięśnie jego ramion sztywnieją.

Trzy czerwone kropki i siedem czarnych – wspomnienie dziewczyny powracało jak natrętna ćma. *Trzydzieści siedem.*

Czy tej młodej kobiecie, obchodzącej samotnie dwudzieste urodziny, pozostało zaledwie siedemnaście lat życia?

Solarze, to nie może być prawda.

Na domiar złego, to on zdradził jej tę liczbę. Widział jej wahanie. Mógł wypytać o szczegóły. Przed oczami stanął mu widok jej zaszkłonych od łez oczu. Jak zareagowałby, gdyby poznał datę własnej śmierci? Siedemnaście lat... Taka wiedza to wyrok.

– Chcesz o coś spytać? – Z zamyślenia wyrwał go głos Pandory.

– Ja... nie mogę w to uwierzyć.

– Nasi przodkowie również nie dowierzali – przyznała. – A jednak każde znamię na pędze zmarłych potwierdza prawdziwość tej reguły.

– To straszne.

– To dar – powiedziała spokojnym tonem. – Nie chciałbyś wiedzieć, ile czasu zostało ci do końca życia?

Omiótł wzrokiem jej pociągłą twarz, a ona potarła nos w oczekiwaniu na odpowiedź. Altus uderzył dłońmi o poręcz, przerywając ciszę.

– A kto normalny chciałby znać dzień swojej śmierci, Pandoro? – rzucił gniewnie. – Gdyby to był dar, mielibyśmy te znamiona

na rękach lub udach. Bogowie ukryli je w pędzie, abyśmy ich nie odczytali przez przypadek.

Pokręciła głową z dezaprobatą, a jej ostre kły błysnęły w gniewnym grymasie.

– Pręga to najsilniejsze miejsce w naszym ciele. Choć skóra jest tam delikatna, to wzmocniona dwiema osiami i otoczona najpotężniejszymi mięśniami stanowi hołd boskiej harmonii i symetrii. To idealne miejsce na taki dar.

Na potwierdzenie słów skrzyła ciało do tyłu, nie odrywając stóp od powierzchni posadzki. Leba aż syknął, spodziewając się, że usłyszy trzask kości. Nic takiego się jednak nie wydarzyło. Kobieta powróciła do pierwotnej pozycji i uśmiechnęła się do niego.

Obok Altusa stanął niższy mężczyzna. Jego pełne niechęci spojrzenie spoczęło na Pandorze. Wycelował w nią palcem.

– Wykorzystaliście klątwę przeciw pozostałym.

– Władza powinna być w rękach odważnych – oznajmiła gniewnie i zarzuciła włosami, odwracając ostentacyjnie głowę.

– Zamilczcie! – krzyknął Leba. – Zostawcie sobie tę dyskusję na później. Za chwilę skończy mi się czas albo przestanę was słyszeć. Jak. Mogę. Wam. Pomóc?

Zgromadzeni ucichli. Zerkali nerwowo po sobie, a ich spojrzenia błyszczały niepewnością.

– Jesteśmy na skraju wojny domowej – odezwała się Pandora. – Doradź nam, jak rozwiązać ten konflikt.

– Nareszcie konkret. Dlaczego się kłócicie? Z powodu znamion?

– Aby zrozumieć naszą sytuację, musisz poznać szerszy kontekst, przybyśzu. Czy starczy ci cierpliwości?

Leba wlepił spojrzenie w twarz otoczoną ciemnoczerwonymi włosami i powoli skinął głową.

– Mam na imię Pandora i przewodzę frakcji Wiedzących.

Osoby zgromadzone wokół niej ukloniły się teatralnie.

– Wierzimy... – Zawahała się. – Wierzimy, że każdy Walerianin powinien znać datę swojej śmierci. Dzięki temu może świadomie zaplanować swoje życie. Wiedza o śmierci pozwala przygotować się na nieuchronną chwilę i odnaleźć w niej spokój.

– Bzdura – wyszeptał mężczyzna stojący obok Altusa.

Pandora zignorowała uwagę i kontynuowała:

– Dla ciebie, drogi pielgrzymie, może się to wydawać straszne, ale rodzimy się z tą liczbą od setek lat. Zaczęliśmy traktować ją jak dar.

– Chyba wy! – przerwał Altus, krocząc nerwowo po balkonie. – Wysłuchaj nas, skrzydlaty gościu. Reprezentuję frakcję Nieświadomych. Uważamy, że znamiona to kara za kradzież relikwii. Przekleństwo, które odbiera nam radość życia. Bo jak żyć w spokoju, kiedy każdego dnia odliczasz dni do swego końca? Albo gdy wiesz, że twoje dziecko umrze przed tobą?

Leba zmarszczył brwi, wbijając spojrzenie w Altusa.

– Jednego nie rozumiem – przerwał. – Ty także masz znanie, prawda?

Mężczyzna skinął głową, a gniew na jego twarzy ustąpił zaskoczeniu.

– A gdyby ona – Leba wskazał Pandorę – wbiła ci teraz nóż w serce. Czy przekazana przez bogów wiadomość nie okaże się fałszywa?

Zebrani jęknęli ze wstrętem.

– Tak jak mówiłem, nie znamy przemocy. Żaden z nas nigdy nie odbierze życia innemu Walerianowi. Ani sobie. Taką mamy naturę.

– I wszystkie liczby jak dotąd się sprawdziły?

– Wszystkie – potwierdzili zgodnie.

W Lebie kotłowały się przeróżne emocje: współczucie, smutek, rozdrażnienie.

– Ci tu – Altus wskazał frakcję Pandory – a raczej ich poprzednicy zdecydowali, że to Wiedzący powinni piastować najważniejsze urzędy.

– Skoro mamy odwagę poznać datę własnej śmierci, będziemy mieli odwagę podejmować trudne decyzje.

Altus wbił mętny wzrok w gościa i skrzyżował palce.

– Choć to niesprawiedliwe, przyjęliśmy i ten policzek. Rządy Wiedzących trwają od wieków. Bywało nerwowo, ale nigdy nie doszło między nami do konfliktu.

– Aż do teraz – rzekła Pandora.

– Aż do teraz – potwierdził Altus i błysnął kłami.

– Co się stało?

Oboje spojrzeli na Lebę. Mężczyzna wciągnął haust powietrza.

– Poszło o dzieci w Przechowalniach. Najlepiej będzie, jak wypowie się Hanus.

Leba spojrział we wskazanym kierunku. Siedzący na lewym balkonie starzec, który wcześniej załagodził spór, wstał i się pokłonił.

– Jestem Hanus, jeden z Przechowalników. Nasza frakcja pozostaje neutralna. Uznajemy, że każdy Walerianin powinien świadomie zdecydować, czy chce poznać datę swojej śmierci, a jeśli nie chce, chronimy go przed uzyskaniem tej informacji od innych.

Leba zastanowił się chwilę nad tym, co usłyszał. Uznał, że to najrozsądniejsza wypowiedź z dotychczasowych.

– Stworzyliśmy Przechowalnie, miejsca, gdzie gromadzimy tych, którzy chcą być nieświadomi. To pilnie strzeżone rezerwy, obowiązuje w nich surowy zakaz zdradzania tajemnicy znamion.

– Zaraz! – Leba uniósł rękę. – Czy nie jest tak, że każdy z was może podejrzec te kropki? Wystarczy spojrzeć w strumień albo lustro.

Zebrani wymienili zdziwione spojrzenia.

– To niemożliwe – odparł Hanus. – Kręgosłupy skutecznie zasłaniają znamiona. Można jednak podejrzec je u innych.

– I co wtedy?

– Właśnie dlatego stworzyliśmy rezerwy. Ci, którzy tam trafiają, szanują decyzję pozostałych o pozostaniu nieświadomymi. My, Przechowalnicy, dokładnie sprawdzamy każdego, kto do nas dołącza. Niestety doszło do incydentu.

– Nazwijmy rzecz po imieniu – zagrmiał Altus. – Sabotażu!

– Bzdura! – krzyknęła Pandora.

Hanus uniósł obie ręce w uspokajającym geście, a zebrani popatrzeli na niego z uwagą.

– Pozwólcie, że skończę opowieść – powiedział łagodnie. – Kilka tygodni temu ktoś potajemnie wdarł się do największej Przechowalni. Kiedy wszyscy spali, wyrysował te liczby na suficie, tuż nad głowami śpiących.

– Masz na myśli... lata życia? – upewnił się Leba.

Hanus kiwnął głową.

– Tak. Obudził nas dźwięk rogu.

– Na Solara – wyszeptał Leba. – Wszyscy dowiedzieli się, ile będą żyć...

Starzec westchnął ponuro. Najwyraźniej wciąż przeżywał to wydarzenie, bo wodził oczami po sztandarze i ciężko przełykał ślinę.

– Skąd zamachowiec znał te liczby? – spytał Leba.

– Nie wiemy. Może to był ktoś z naszych, a może osoba z zewnątrz. Parkanin skinął głową, starając się zebrać myśli.

– Co wydarzyło się potem?

– Większość przechowywanych zamknęła się w sobie – odparł Hanus tonem kruchym jak skorupka jajka. – Straciliśmy ich. Snują się jak cienie, bez celu. Tylko nieliczni, ci, których liczby lat są duże, dźwignęły ciężar tej wiedzy. Pozostali jednak nie potrafią żyć z taką świadomością. To stało się tak nagle...

– To oni! – krzyknął piskliwie kompan Altusa. – To Wiedzący za tym stoją!

– Nie mamy z tym nic wspólnego! – zaoponowała Pandora. – Równie dobrze mogłabym oskarżyć was o wytatuowanie synka ministra architektury.

– Bzdura!

– Powoli – przerwał stanowczo Leba. – O jaki tatuaż chodzi?

Pandora klasnęła w dłonie.

– Dziękuję za to pytanie. Może powinnam była od tego zacząć. Pełnimy władzę, a ci tu, Nieświadomi, robią wszystko, by zmienić reguły ustalone przed laty.

– Nie macie dowodów! – zawołał rozemocjonowany kompan Altusa.

Leba uniósł rękę, a jego spojrzenie uciszyło mężczyznę. Pandora kontynuowała:

– Zaraz po narodzinach wytatuowano synka jednego z ministrów, zanim rodzice zdążyli poznać jego znamię.

– Ale... jak? – spytał Leba.

– Zamazano znamiona na prędze. Atramentem. Trwale – podkreśliła, przyglądając się twarzom Nieświadomych.

Leba zmarszczył brwi i przebiegł wzrokiem po stojących za sztandarem z symbolem tarczy. Zebrani tam odwrócili wzrok.

– Czy sprawców złapano?

Pokręciła smutno głową.

– Nie.

– Dlaczego do tego doszło? – drążył.

Pandora westchnęła, jakby ciężar mówienia o tym wszystkim stawał się nie do zniesienia.

– Komuś zależało na tym, by chłopiec nie mógł pełnić władzy. Jeśli znamię zostaje zamazane, jego posiadacz nigdy nie stanie się Wiedzącym. – Wbiła w niego spojrzenie pełne nadziei. – Jak ci na imię, przybyszu?

– Leba – odparł, wciąż zatopiony w myślach o losie noworodka.

– Lebo, kiedy pojawia się coś, co daje przewagę, zawsze znajdują się tacy, którzy zechcą to wykorzystać. Na czarnym rynku można znaleźć tatuatorów oferujących zamazywanie znamion. Można też kupić inne usługi.

– Na przykład?

– Modyfikacje. Dopisywanie lub usuwanie kropek, by sfałszować liczbę.

– Ale po co to robić?

Wzruszyła ramionami i zamilkła. Zająła miejsce.

– Nikt ci nie powie po co – odezwał się spokojnym tonem Altus. – Przynajmniej nie tutaj. Wpływanie na znamiona jest przestępstwem karanym więzieniem. Już sama rozmowa o tym grozi wysoką grzywną.

Leba kiwnął głową, choć czuł, że rozumie coraz mniej.

– A dorośli? Jak radzą sobie z wiedzą o swojej śmierci?

Altus potarł nerwowo twarz.

– To zależy. Niektórzy potrafią traktować każdy dzień jak dar, cieszyć się życiem mimo wszystko. Ale wielu z nas zwątpiło. Strach omiata dusze, a każdy dzień staje się zegarem pożerającym czas.

– Jeśli wszyscy poznają znamiona, lęk zaniknie – wtrąciła Pandora.

Słowa kobiety wywołały burzę. Większość towarzyszy Altusa zerwało się na nogi, a otoczenie wypełniły krzyki.

– Nigdy nie wprowadzicie tego dekretu!

– Nie pozwolimy na to! – wołali inni.

– Spokój! – wrzasnął Leba. – O jaki dekret chodzi?

Pandora uniosła głowę i spojrzała z wyższością na krzyczących. Powróciła wzrokiem do Leby.

– Pracujemy nad rozporządzeniem, by każdy rodzic zmuszony był zaraz po porodzie poznać znamiona swojego dziecka.

– To koszmar! – krzyknął Altus. – I odwrotnie również. Dzieci nie powinny znać daty śmierci rodziców.

– To dar – podkreśliła. – Podziały wynikają z braku standardów. Znamiona to wiedza, którą można wykorzystać, by żyło się nam lepiej. Niedawno po raz kolejny udowodniliśmy, jak można z niej czerpać.

– Masz na myśli to wasze nowe urojenie? Aranżowane małżeństwa?

– Chociażby!

– Lebo. – Altus zwrócił się do gościa błagalnym tonem. – Sam oceń. Wiedzący zaproponowali, by Walerianie dobierali się w pary według zbliżonej liczby lat życia.

– Czyż to nie piękne? – grzmiała Pandora. – Nie będzie wdów, wdowców, życia w samotności. Osoba, która ma żyć osiemdziesiąt lat, dobiera sobie partnera o podobnej wartości znamion. Razem aż do ostatnich dni!

– Razem aż do ostatnich dni! – zawtórowali Wiedzący.

– A co z uczuciem?! – zaprotestował kompan Altusa. – Gdzie w tym wszystkim miejsce na uczucie?!

Leba zatonął w myślach, podczas gdy Walerianowie pograżyli się w coraz bardziej zajadłej dyskusji. Argumenty się mnożyły, ale nie wносиły nic nowego.

Co mógł zrobić? Za najrozsądniejsze uznał stanowisko Przechowalnika. Spokój, z jakim mężczyzna wyrażał swoje myśli, wzbudzał zaufanie, a jego poparcie dla wolności wyboru trafiało do Leby. Sama idea ochrony znamion również wydawała się bliska sercu Parkanina. A może uważał tak, bo sam nie chciałby znać daty swej śmierci?

Pełniący władzę pragnęli narzucić jawność znamion, przekonując, że to droga do harmonii. Pandora trzymała dystans, a jej protekcyjny ton budził w Lebie niechęć. Aranżowane małżeństwa wydawały mu się pozbawione uczuć, choć nie mógł zaprzeczyć, że miały swoją logikę.

Co się stanie, jeśli Wiedzący utracą władzę? Czy Walerianie nie pogrążą się w chaosie?

Nieświadomi. Ta frakcja wyglądała na najbardziej poszkodowaną. Leba omiółł wzrokiem zgromadzonych i zatrzymał spojrzenie na ostatnim balkonie, gdzie zasiadała najmniej liczna grupa.

– A wy?! – przekrzyczał kłócących się i wskazał łóżę. – Kim wy jesteście?

Jedna z kobiet wstała z krzesła i wykonała ręką powitalny gest.

– Mówią na nas Odkrywczy. Uważamy, że znamiona są boskim szyfrem. Kluczem do nieśmiertelności.

Na pozostałych balkonach rozległy się westchnienia i szydercze parsknięcia. Wiele osób przewróciło oczami i kontynuowało swoje spory.

Leba opadł na mównicę i wlepił wzrok w jej gładką, starannie wykończoną drewnianą powierzchnię. Podparł brodę na rękach. Coś podpowiadało mu, że to najtrudniejsza z prób i co gorsza, będzie jej musiał stawić czoła bez Brena.

* * *

Leba poprosił o zorganizowanie oddzielnych spotkań z przedstawicielami wszystkich frakcji. Wyraźnie zaznaczył, że nie życzy sobie liderów, tylko zwykłych Walerian, najlepiej tych spoza Rady. Przyjmował ich w jednym z wielu gabinetów sprawujących władzę ministrów.

Jako pierwsza do komnaty wkroczyła kobieta należąca do Odkrywców. Wątek boskiego szyfru wydawał się Lebie intrygujący. Siedząca na wypełnionym ziarnem worku Odkrywczyni opowiadała o prowadzonych rejestrach, a także analizie powiązań. Na pytanie, co dotąd udało im się odkryć, odpowiedziała wymijająco, podkreślając, że badania postępowałyby szybciej, gdyby nie coraz

częstsze przypadki modyfikacji znamion. Nie znalazłszy nic, czego mógłby się chwycić, Leba poprosił, by przyprowadzono przedstawiciela Nieświadomych.

W oczekiwaniu na gościa rozejrzał się po pomieszczeniu. Łukowate sklepienie mieniło się czerwonym kruszczem, którego nie potrafił rozpoznać. Ściany ozdobiono misternie wykonanymi płaskorzeźbami i szczegółowymi malowidłami krajobrazów, a okna do połowy przesłonięte były ciężkimi zasłonami.

W rogu stał stół, na którym znajdowały się otwarta księga, buteleczka z inkaustem oraz cztery pióra związane niebieską wstążką. Leba usiadł wygodniej w fotelu na płozach, który zaskrzypiał cicho pod jego ciężarem. Na ścianie zatańczyły cienie płonących w kominku drew. Między fotelem a przeznaczonym dla gości workiem z ziarnem stała ława. Na niej spoczywały misy z nieznanymi żółtymi owocami w kształcie rombów oraz rośliny zwinięte w rulony, przypominające koper.

Drzwi otworzyły się bezszelestnie, a do środka weszła młoda kobieta. Skłoniła się lekko, po czym zajęła miejsce na worku i skrzyżowała nogi w kostkach.

– Mam na imię Fiona – powiedziała.

– Ile masz lat? – spytał Leba.

Jej białe oczy, przypominające grudy soli, zalśniły lekkim niepokojem.

– Dwadzieścia siedem – odparła cicho.

– Czy mogę cię prosić, byś pokazała swą pręgę?

Zawahała się, lecz po chwili spełniła prośbę. Wstała z niezwyklej gracją, stanęła w rozkroku i skręciła ciało, ukazując plecy.

Niesamowite są te ich wygięcia – ocenił w myślach Leba.

– Uniosę ubranie – ostrzegł.

Pokiwała nerwowo głową, a on wstał i podciągnął materiał, odsłaniając pręgę na jej plecach. Mięśnie wokół niej się napięły.

Zbliżył głowę i obejrzał skórę między kręgosłupami. Jedna kropka czerwona i dwie czarne. Dwanaście.

Ktoś tu kłamie – pomyślał. *Nie wygląda na dziecko.*

Obciągnął materiał.

– Mogę usiąść? – spytała nerwowo.

– Tak.

Wpatrywali się w siebie bez słowa. Dziewczyna przeczesła dłonią bursztynowe włosy. Miała szarą, zniszczoną cerę i zmęczone oczy. Jej górna warga podrygiwała raz po raz.

– Twoje znamię... – zaczął ostrożnie.

– Zostało zmodyfikowane – przyznała, spuszczać wzrok.

– Na twoje życzenie?

Rozejrzała się nerwowo.

– Masz dzieci? – spytała.

Pokręcił głową.

– Wyobraź sobie, że masz. Rodzi się maluszek, zaczyna raczkować, człapie na czworakach pod twoim nosem. Na początku odwracasz wzrok, raz, drugi, setny. Ale prędzej czy później ciekawość zwycięży. Zerkniesz. A potem, gdy podrośnie, powiesz mu, ile będzie żyć. – Wypuściła powietrze i poprawiła się na worku. – Mój ojciec wydał wszystkie oszczędności, by kupić dla mnie modyfikację. Nie starczyło mu jednak na dużą liczbę.

– Zaczekaj. Chcesz powiedzieć, że modyfikacje różnią się ceną w zależności od wartości?

Spojrzała na niego smutno.

– Gdyby wytatuowano mi większą wartość, nie siedziałabym w więzieniu.

– Byłaś w więzieniu?

– Wciąż odbywam karę.

Uniósł się na łokciach. Tym razem to on rozejrzał się nerwowo. Poczuł ukłucie w trzewiach. Krew zaczęła krążyć szybciej.

– Wypuszczono mnie tylko na to spotkanie – wyjaśniła. – Wiedzący zabiorą mnie tam z powrotem zaraz po rozmowie.

– Ale dlaczego? Co takiego zrobiłaś?

– Kiedy tata zlecał modyfikację, nie było to karane. Kilka lat temu wprowadzono prawo. Za każdy tatuaż lub modyfikację grozi więzienie. Zgodnie z moimi znamionami nie powinnam już żyć. Zauważono, że jestem starsza, niż wskazuje liczba. Mistyfikacja wyszła na jaw.

– Teraz rozumiem, dlaczego większe wartości są droższe.

Wzruszyła ramionami.

– To i tak lepsze, niż znać datę śmierci.

– A dorośli? – spytał.

– Co z nimi?

– Czy zamawiają modyfikacje dla siebie?

– Oczywiście.

– Dlaczego?

Dziewczyna zacisnęła palce na materiale worka, a ukryte wewnątrz ziarna zaszeleściły.

– Trudno wytłumaczyć to komuś spoza naszego świata. Gdybyś urodził się między nami, nie zadawałbyś takich pytań.

– Ale nie jestem stąd.

– Nie jesteś. – Westchnęła. – Dobrze. Wyobraź sobie dwójkę przyjaciół. Albo małżeństwo, niech będzie małżeństwo. Oboje należą do Nieświadomych, przeciwników poznania znamion. Spędzają ze sobą dużo czasu. Pewnego dnia... podczas kąpieli...

– Rozumiem – przerwał jej. – Nie da się zasłonić tej pręgi?

– To zakazane. Wiedzący odpuścili przymusowe poznawanie znamion, ale zabraniają ich ukrywać.

– Rozumiem.

– Poza tym... – dodała, patrząc mu prosto w oczy – w każdej rase tkwi odrobina ciekawości. Nawet gdyby wolno nam było je

zasłaniać, żyjemy ze sobą dziesiątki lat. Myślisz, że przez ten czas nie nadarzyłaby się okazja?

Wysunęła ręce i rozchyliła dłonie, zachęcając, by podał swoje. Wykonał prośbę. Miała ciepłą, choć szorstką w dotyku skórę, przypominającą łuskę węża.

– Załóżmy – zaczęła – że poznałeś datę śmierci swojej małżonki. Ona także zna rok, w którym odejdiesz. Nie rozmawiacie o tym, szanujecie wzajemne prawo do milczenia. Myślisz, że będziecie żyć normalnie?

– Nie wiem – odparł chłodno.

– A ja wiem. Nic nie będzie takie samo, pielgrzymie. Dlatego dorośli również płacą majątek, by zmodyfikować swoje znamiona, często przed zawarciem małżeństwa.

Puścił jej dłonie i spojrzał na nią z uwagą.

– A tatuowanie? Całkowite zasłonięcie znamion. Kto to robi?

– Tatuaze są tańsze, ale jednocześnie skazują na więzienie. To ostateczność, broń w walce z Wiedzącymi. Tylko tatuaze budzą w nich prawdziwy lęk.

– Tatuujecie ich dzieci?

Zerknęła w okno, a jej spojrzenie stało się lodowate.

– Podczas wojny nie ma reguł.

Rozległo się pukanie do drzwi. Raz, a potem drugi.

Kobieta wstała energicznie, znieruchomiała. Spojrzała na Lebę z niepokojem.

– Moi przyjaciele... Wydałam dużo pieniędzy, by przekupili strażników i przyprowadzili tu moją córkę. W naszych więzieniach odwiedziny są zakazane, a mnie skazano na dożywocie. Muszę ją zobaczyć.

Leba patrzył na trzęsącą się ze strachu kobietę, jej zawieszoną w powietrzu rękę, skierowaną w stronę klamki. W orzechowych oczach błyszczało błaganie.

– Proszę – wyszeptała.

Skinął powoli głowę. Walerianka rzuciła się na klamkę i otworzyła drzwi. Ktoś podał jej malutką dziewczynkę. Wzięła ją ostrożnie na ręce, uważając na bandaż widoczny pod pachami dziecka.

W powietrzu rozlała się kwaśna woń.

– Moja kochana gwiazdeczka – powiedziała łamiącym się głosem.

Dziewczynka była drobna, z rzadkimi złocistymi włoskami, wychudzonymi rączkami oraz nóżkami. Jej skóra odchodziła całymi płatami, zwłaszcza na plecach i brzuchu. W tych miejscach widniały brunatne plamy, najpewniej zakrzepnięta krew.

Jest chora – pomyślał, wpatrując się w bandaże. *To one tak śmierdzą. Pewnie jakaś maść.*

Córeczka wpatrywała się w matkę z uwagą. Leba dostrzegł w jej oczach zaskoczenie i niepewność, a także miłość uwięzioną jak ptak w klatce, spętana cierpieniem i chorobą.

– To ja, mamusia – wyszeptała kobieta i delikatnie pocałowała dziewczynkę w czoło. Usiadła z nią na worku i przytuliła niczym kruchy, jesienny liść. – Dziękuję – powiedziała bezgłośnie do Leby. Zamknęła powieki, a po jej policzku spłynęła łza.

Półnaga córeczka niepewnie objęła maminią szyję. Kobieta zbliżyła usta do małego uszka.

– Dałam ci na imię Zwycięstwo, bo wiem, że pokonasz chorobę – powiedziała drżącym głosem. Spojrzała w oczy dziecka. – Jesteś taka duża, jak na roczek. Silna i bardzo podobna do tatusia.

Dziecko wydało z siebie bliżej nieokreślony dźwięk. Leba nie był pewien, czy to oznaka radości, czy bólu wywołanego dotykiem. Kiedy dziewczynka ponownie objęła matkę, linie kręgosłupów się oddaliły, a delikatna skóra skrywająca znamiona się napięła.

Solarze, daj mi siłę – pomyślał, starając się odwrócić wzrok. Coś jednak kusiło go, by spojrzeć. Chciał powstrzymać pokusę, skupić się na matce całującej uszka. Najpierw lewe, potem prawe,

następnie znowu lewe. Jedno spojrzenie, tylko jedno. Policzy wyłącznie czerwone kropki. Omiótł spojrzeniem wgłębienie. Siedział na tyle blisko, by dostrzec, że czerwonych kropek nie było.

Odwrócił wzrok i spojrzał na twarz matki upajającej się tą ulotną chwilą. Jej policzek stykał się z różowym policzkiem dziecka, a usta poruszały się rytmicznie, jakby szeptem śpiewała.

Ostatnie spojrzenie. I tak nikomu nie powie. Policzy czarne. Może u maluszków czerwone kropki znajdują się bliżej czarnych. Powiódł wzrokiem po drobnych pleckach, zmrużył oczy.

Poczuł strach. Mroczny, dojmujący, niemożliwy do powstrzymania. W prędkie widniały tylko dwa czarne znamiona. Miał ochotę wrzeszczeć, wyrzucić z pokoju matkę i dziecko, najlepiej wrócić do Przedsionka, gdzie nie musiał odczuwać, wybierać ani poznawać tak strasznych prawd.

Pukanie do drzwi. Cisza, a potem ponowny stukot.

Matka otworzyła powieki i powoli odsunęła się od córeczki, która wiotka jak gałązka wierzby zasnęła w jej ramionach. Wstała ostrożnie, podeszła do drzwi, nacisnęła klamkę i zerknęła na maleństwo. Obce ręce chwyciły dziewczynkę, drzwi zamknęły się za nimi.

– Wszystko w porządku? – spytała zamyślonego Lebę.

Skinął szybko głową i odwrócił wzrok. Kobieta ruszyła w jego kierunku. Wolno. Jeden krok, jedno uderzenie serca. Stanęła z boku. Położyła dłoń na jego pierzastym ramieniu.

– Wiem, że nie wygląda jak normalne dziecko – powiedziała cicho. – Jest bardzo chora. Rany nie chcą się goić.

Leba zacisnął szczękę. Jakie słowa mógłby znaleźć w takiej sytuacji?

– Odkąd dostaje ten nowy lek, jest trochę lepiej – kontynuowała. – Przyjaciele twierdzą, że widać poprawę, choć ja... – Zawahała się, wsunęła palce pomiędzy pióra na jego ramieniu. – Ja zmian nie widzę. Ale jest silna. Wygra z chorobą.

– Znasz wartość jej znamion? – spytał.

– W życiu!

– Gdzie jest twój mąż?

Wzruszyła ramionami. Czuł, że drgnęła nerwowo.

– Potrzebujesz jeszcze czegoś, pielgrzymie?

Pokręcił głową, czując zimny pot spływający pod piórami. Gardło miał suche jak popiół. Nieświadoma zatrzymała się przy drzwiach.

– Dziękuję – powiedziała półszepem. – Nigdy ci tego nie zapomnę.

Chwilę później wyszła, a ciężka cisza opadła na pomieszczenie niczym mgła.

* * *

Poprosił, by oczekujący na korytarzu gość dał mu chwilę na ochłonięcie. Dłonie mu drżały, gdy sięgał po żółty owoc leżący na tacy. Wyglądał na obrany ze skóry, bo krople soku błyszczały na mięsistej powierzchni. Powąchał go – cierpki, intensywny aromat wypełnił nozdrza. Leba wbił zęby w owoc. Smak przypominał kosmatowce z Parkan, ale mięsz nie był tak soczysty i wymagał dłuższego przeżuwania.

Poczuł złość. Pierwszy raz w życiu był zły na Solara. Jak jego ukochany bóg mógł zakpić sobie z tego świata? Jeżeli rzeczywiście zesłał tę klątwę, była okrutna. Dlaczego kara nie dosięgła jedynie złodzieja? Czemu jej ciężar spadł na całe społeczeństwo?

Leba przeżuwał cierpki owoc i patrzył beznamiętnie w drzwi. Co innego wysłuchiwać teoretycznych sprzeczek rady, a co innego widzieć miłość. Bo czymże innym było niedawne spotkanie, jeśli nie miłością: bolesną, pełną tęsknoty i wiary.

Fałszywej wiary – pomyślał i przełknął owoc.

Czy ojciec tego dziecka podejrztał pręgę? Czy właśnie to go złamało? Zniknął, nie dźwignąwszy podwójnego ciężaru.

Pomyślał o Brenie. Brakowało mu go. Tam, w PrzedSIONKU tłumił wszelkie uczucia i myśli. Tu czuł się nagi, pozbawiony ochrony. Przyjaciół był niczym płaszcz, którego teraz tak rozpaczliwie mu brakowało.

Otarł usta i zawołał następnego gościa. Do komnaty wszedł przedstawiciel Przechowalników. Mężczyzna usiadł, wciągnął nosem wciąż odczuwalną woń maści i obdarzył skrzydlatego wnikliwym spojrzeniem. Chudy, w średnim wieku, rozglądający się po pomieszczeniu gość sięgnął nieśmiało po drugi owoc i odgryzł kawałek.

– Jestem Sahir – przedstawił się niewyraźnie, wciąż przeżuując. Oparł się plecami o ścianę. – Co chcesz wiedzieć? – spytał.

– Ile masz lat?

– Sześćdziesiąt osiem.

Leba przez chwilę zastanawiał się, czy nie poprosić o pokazanie pręgi, ale szybko porzucił ten pomysł.

– Znasz datę swojej śmierci?

– Znam.

– Więc czemu nie należysz do Wiedzących?

Sahir uniósł brew i zaczął nerwowo skubać materiał rękawa.

– Bo nie uważam, że powinno się ją zdradzać wszystkim.

– Tylko komu?

Mężczyzna zbliżył skrzyżowane dłonie do piersi.

– My, Przechowalnicy, chcemy tworzyć oazy dla tych, którzy chcą żyć normalnie.

– Normalnie, czyli jak?

– Z dala od presji świata zewnętrznego. W bezpiecznych miejscach, do których nie dotrze żadna ze stron.

– Wydawało mi się, że Przechowalnie są tylko dla Nieświadomych – zauważył Leba.

– Większość z nich tak. Ale zaczęliśmy otwierać też miejsca dla Wiedzących.

– A oni czego się boją? Przecież to frakcja rządząca.

– Tatuażystów.

Leba uniósł brwi w zdumieniu.

– Tatuażystów?

– Tak. Trafiają do nas głównie kobiety w zaawansowanej ciąży.

– Więc nie opowiadacie się po żadnej ze stron – upewnił się Parkanin, wskazując go palcem.

– Uważamy, że każdy ma prawo do własnej decyzji.

– A jednak bliżej ci do Wiedzących.

Sahir zastygł, zerkając pobieżnie na skrzydła Leby.

– Czemu tak uważasz? – spytał z wyraźną ostrożnością.

– Poznałeś liczbę...

– To nie tak.

Coś tu nie grało, i to mocno. Mężczyzna nerwowo skubał rękaw koszuli i kołysał się na worku. Unikał wzroku pielgrzyma, a jego odpowiedzi były zdawkowe, jakby bał się za dużo zdradzić.

– Byłem szantażowany – wyznał w końcu.

Leba nachylił się ku niemu i łagodnym gestem dłoni zachęcił do kontynuowania.

– Moja rodzina zgromadziła pokaźną fortunę – zaczął Sahir. – To zasługa wielu pokoleń. Pewnego dnia przybyli szantażyści...

– Grozili, że zdradzą ci dzień twojej śmierci?

Pokiwał głową.

– Żądali ogromnej sumy. Niestety, takie rzeczy zdarzają się na gminnie. Nikt z zamożnych nie może czuć się bezpiecznie.

– I co zrobiłeś?

– A co mogłem zrobić? Uprzedziłem ich. Poznałem swoją liczbę wcześniej. Uznałem, że to lepsze, niż stracić oszczędności życia.

Leba przetarł dłonią twarz, próbując zebrać myśli.

– Tatuatorzy, modyfikatorzy, szantażyści – wyliczał na palcach Leba. – Nie jesteście tak nieskazitelni, jak myślałem.

Na twarzy Sahira, o skórze przywodzącej na myśl marmur równie zimny jak jego słowa, pojawiła się mieszanina emocji: smutku, wstydu, zażenowania.

– Jesteśmy jak każde inne społeczeństwo – przyznał. – Z tą różnicą, że zostaliśmy wystawieni na pokuszenie.

– A co sądzisz o Odkrywcach?

– To kolejna z form ucieczki przed tym, co nieuniknione. Wolą analizować cudze liczby, by nie myśleć o własnych.

Leba podał mu dłoń na pożegnanie. Sahir potrząsnął nią niepewnie, jakby gest ten nie był mu znajomy. Widząc, że skrzydlaty spogląda w stronę drzwi, wyszedł bez słowa.

Do komnaty wkroczył ostatni rozmówca. Jego wyprostowana postawa, pewność siebie i sposób, w jaki bez wahania chwycił i zaczął jeść roślinę przypominającą koper, od razu zdradziły przynależność do frakcji rządzącej.

– Hansa – przedstawił się, wciąż przeżuując.

Leba zwrócił uwagę na jego charakterystyczne, sępie brwi. Grube, zwisające pod zmarszczonym czołem, przypominały włochate daszki. Mężczyzna poruszył krzywym nosem, złapał całą garść brunatnych roślin, odchylił się do tyłu i kontynuował jedzenie.

– Reprezentujesz Wiedzących – rzekł Leba.

Hansa skinął głową i pokazał dłonią, by dać mu chwilę na przełknięcie.

Parkanin uderzył pięścią w ławę, odrobinę mocniej, niż zamierzał. Jego gość działał mu na nerwy – wyniosły, niedbały, zdecydowanie nie wzbudzał zaufania.

– A co ty na to, że najpierw porozmawiamy, a potem pójdziesz na posiłek? – zaproponował z wyczuwalną irytacją.

Hansa przełknął pośpiesznie resztkę rośliny i wyprostował się, jakby w odpowiedzi na naganę.

– Jak sobie życzysz – odparł.

– Ile masz lat?

– Trzydzieści.

– Ile zostało ci lat życia?

– Mi?

– A jest tu ktoś jeszcze? – prychnął Leba.

– Kilkadzieśnięt – odparł po chwili namysłu.

– A dokładnie?

– Musiałbym policzyć.

Leba wykonał gest zachęcający, by to zrobił, a sam popadł w zadumę.

Albo blefuje, albo faktycznie nie przywiązuje do tego wagi – pomyślał.

– Moje znamię wskazuje, że zostały mi jeszcze czterdzieści cztery lata – oznajmił Hansa w końcu.

– I naprawdę o tym nie myślisz?

Mężczyzna podrapał się po głowie, zerknął na dwie pozostałe rośliny przypominające koper, ale zamiast po nie sięgnąć, chwycił wisiorzek zawieszony na szyi.

– Mam dużo czasu – stwierdził nonszalancko. – Odkąd poznałem datę swojej śmierci, staram się cieszyć życiem i przynosić radość innym. A także sobie.

Zapewne głównie sobie – pomyślał Leba, zerkając na zdobiony płaszcz i szlachetny kamień osadzony w wisiorze.

– Dlaczego niektórzy z twoich pobratymców decydują się na modyfikację znamion? – spytał wprost.

Hansa przez chwilę myślał nad odpowiedzią, jakby nie była dla niego oczywista. Leba czekał. Chciał usłyszeć, jak wylicza wszystkie złe rzeczy przydarzające się Nieświadomym.

– To proste. Chcą rządzić – odparł w końcu Hansa.

– Rządzić, powiadasz?

Rozmówca skrzywił się, szczerząc kły.

– Oczywiście. Kupują modyfikację z dużą liczbą, kryją się pośród nas, piastują urzędy, do których nie mają prawa. A w głębi serca są tchórzami.

Czy to rzeczywiście może być prawda? – zastanawiał się Leba.

Kolejny raz poczuł, że brakuje mu Brena. Chciał z nim porozmawiać, skonfrontować myśli. Rudowłosy przyjaciel często zaskakiwał go spostrzeżeniami, na które sam nie zwracał uwagi. Na tę chwilę Leba skłaniał się ku sympatii wobec Nieświadomych – spotkanie z matką głęboko nim wstrząsnęło. Mimo to wiedział, że życie bywa pokrętne. Frakcja unikających wiedzy o dacie śmierci mogła celowo wybrać taki przypadek, by zagrać na jego emocjach. Nie mógł bagatelizować słów Hansy o dążeniu do władzy przez Nieświadomych. Nie powinien nikogo faworyzować.

– Czy myśleliście kiedyś o podziale? – spytał.

Mężczyzna puścił wisior, wyciągnął z kieszeni zdobioną chustę i zaczął wycierać dłonie.

– Co masz na myśli, pielgrzymie?

– Kraj na pół. Ciach. – Leba przeciął powietrze dłonią. – Po lewej Wiedzący, po prawej Nieświadomi.

– Dwieście lat temu tak mieszkaliśmy.

Parkanin przysunął się bliżej, zaintrygowany. Hansa zerknął na tację, oblizał usta, ale kontynuował:

– Księgi prawią, że podział nie trwał długo. Frakcje zaczęły dokonywać aktów sabotażu.

– Ale dlaczego?

– By zdobyć przewagę. Nieświadomi tatuowali noworodki Wiedzących, Wiedzący porywali dzieci Nieświadomych...

– Wystarczy – przerwał ostro Leba.

Rozczarowanie ścisnęło mu serce. Jedyny pomysł, który tlił się w jego głowie, właśnie zgaśł. Zapadła krępująca cisza.

A gdyby tak nakazać wszystkim ukrywać znamiona? – zastanowił się. Żyliby tak samo jak inne rasy.

Popatrzył na Hansę. Mężczyzna wydawał się spokojny, rozluźniony. Splecione niedbale ręce, pewne spojrzenie, swobodna postawa – może oni naprawdę potrafili cieszyć się życiem.

A gdyby ktoś odczytał w tajemnicy wszystkie znamiona? Gdyby rozdzielić tych, którzy mieli żyć krótko, od pozostałych? Głupota! – skarcił się w myślach. To tylko zwiększyłoby napięcia.

– Coś jeszcze? – przerwał jego myśli Hansa.

Leba pokręcił głową. Gość wstał, otrząpał spodnie, po czym popatrzył na stolik, księgę, pióro oraz kałamarz.

– W takim razie życzę weny – rzucił i trzasnął drzwiami za sobą.

* * *

Leba siedział nad otwartą księgą i wlepił wzrok w zapisane strony. Pióro pękło, jakby na złość, lecz zdążył spisać wszystkie pomysły. Najgorsze było to, że nie mógł ich z nikim skonsultować. Dlaczego trafił na pielgrzymkę bez Brena? Czy kolejna wyprawa będzie już wspólna?

Powrócił myślami do rozmów z Walerianami i zaczął analizować je na nowo. Chwycił pióro i odczytał zapiski na głos:

– „Punkt pierwszy. Władza przestaje należeć do Wiedzących. W każdym ośrodku decyzyjnym zasiadać będzie równa liczba przedstawicieli każdej frakcji. Decyzje będą zapadać większością głosów. Odkrywcy, którzy i tak koncentrują się na analizie znamion, nie będą obsadzać stanowisk w radzie. Dzięki temu łatwiej będzie uzyskiwać większość głosów w kwestiach spornych”.

Westchnął, otarł pot z czoła. To powinno utrząść nosa Wiedzącym, ale czy nie wywoła jeszcze większego konfliktu?

– „Punkt drugi. Każdy noworodek będzie tatuowany zaraz po narodzinach...” – Głos Leby zadrżał.

To zdanie budziło w nim największy niepokój. Położył dłonie na stronicach księgi i potrząsnął głową. Jak mógł wymyślić coś tak kontrowersyjnego? To jego pomysł czy podszept mroku? Zerknął na chaotyczne zapiski.

– „Zabieg wykonają Przechowalnicy, którzy wcześniej zapiszą w sekrecie wartość znamion. Liczby będą przetrzymywane w bezpiecznym miejscu”.

A co, jeśli ktoś przejmie kontrolę nad tymi dokumentami? – pomyślał z niepokojem.

Ziewnął, czując narastającą senność. Była nienaturalna, jak gdyby ktoś lub coś chciało go wypędzić z tego świata. Przymusił się, by wrócić do lektury.

– „Punkt trzeci. Zadaniem Przechowalników będzie edukacja dzieci o życiu, śmierci i znaczeniu czasu. O wadach oraz zaletach poznania daty ostatecznej. Powinni przygotować je do podjęcia samodzielnej decyzji, gdy osiągną pełnoletniość”.

Głowa Leby opadła na pierś. Oddychał ciężko, chrapliwie. Czy wszystko, co przeżył, nie jest jedną z tych chwil, kiedy śni się na jawie koszmarnie ułudy? Zmusił ciało do wysiłku i uniośł głowę.

– „Jeśli pełnoletni Walerianin – kontynuował odczyt – zechce poznać datę swej śmierci, zostanie mu ona przekazana w sekrecie, a zapis trwale zniszczony. – Zerknął na zamazane i niewyraźne litery. Zamrugał, ale niewiele to pomogło. – W przypadku braku chęci poznania daty dokumenty również zostaną zniszczone. Usunięcie informacji ukróci działalność szantażystów, padnie rynek nielegalnych modyfikacji, a wiedza o śmierci przestanie być środkiem do zdobycia władzy. Z czasem wszyscy zostaną wytatuowani, a daty śmierci pozostaną wyłącznie w głowach ich właścicieli lub znikną na zawsze”.

Zamknął księgę i położył głowę na blacie.

*A co z Przechowalnikami? Skąd pewność, że nikt ich nie przekupi?
A jeśli ktoś wykradnie informacje?*

Senność zwyciężyła. Przekłuła balon świadomości, a myśli prysnęły donikąd. Leba miał nadzieję, że obudzi się w znanym mu świecie bez uczuć. Świecie, gdzie nie będzie musiał wybierać ani mierzyć się z tak okrutną wiedzą. W miejscu, gdzie znajomość daty śmierci byłaby zbawieniem.

Znajdziesz mnie:



www.facebook.com/frazyfantasy



www.instagram.com/frazyfantasy



www.tiktok.com/@frazyfantasy



www.elfickie.pl



<https://lubimyczytac.pl/autor/245233/pawel-zbroszczyk>